№ 45 Warszawa, dnia 25 Października (6 Listopada) roku 1880.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

SPRAWA GRANICZNA.

GAWĘDA

przez

Ludwika Niemojowskiego.

(Wyjątek z większej całości).

(Dokończenie).

Zasię Rotmistrz nuż łeb w okno,
Wąsa zmoczył: „trudna rada.“
Mruknął ścicha „toć deszcz pada,
Całe światy w wodzie mokną,
Trzeba czekać...“

—Czekać, zwlekać,
I dać na łbie ciosać kołki!
Krzyknie wiarus—aj! do kata!
A toć Wojski drwi z nas jawnie.
Czy my żaki w ten wzór płoche,
By sromotę znieść osłownie,
Że tam deszczu kapnie trochę,
Lub że płuta gunię spłucze,
Ejże panie—dajcie ino
W łapę tasak choć szczerbaty,
A ujrzycie kto za katy,
Pójdzie na harc z swą drużyną,
Kto obmaca, kto wytłucze.

Rotmistrzowi w to graj ino:
Już się zeździł, łbem potrząsa,
Szablą dzwoni, muska wąsa.
—Składnie waszmość pono prawi,
Nie lża czekał kto zniesławi,
Dalej żwawo, ruszaj wasze,
Zwołaj drabów i pachołki:
Nie dam sobie napluć w kaszę,
Ani na łbie ciosać kolki!

Jeszcze prawił, a niecnota
Podstarości—czmych z komnaty,
I choć deszcz jak z cebra leci,
Nuże klapać się przez błota,
Nuże wołać: do mnie dzieci!
Do mnie chłopcy, do mnie wiara!

Zbiegła się tam tego siła
Drabów, chłopów co niemiara,
Jeden z cepem z widły drugi,
Trzeci kańczug ujął w łapę,
Jaki taki hycl na szkapę,
I przez błota i przez smugi,
Za panami hejże! hola!

Jadą, jadą, stary rzecze:
—Dobrze nam się jakoś składa,
Wojski pono u sąsiada,
Nich się chudzina przywlecze,
My do kopców, butnie, żwawo,
I *de facto* przy nas prawo.

—Tak *de facto*, lecz *de jure*?
Rzecze Rotmistrz osowiały
—Gotów Wojski wleść za skórę:
On za sobą gród ma cały,
Przy nim fundum...

—Fundum w łapie!
Powie wiarus—a zacz przecie,
Człek ma stygnąć w cnym impecie,
Że tam na łeb deszczyk kapie!

Rotmistrz zamilkł: od lat wiela,
Przywykł słuchać przyjaciela,
I choć zrazu znim się wadził,
Zawżdy zrobił jak on radził.
Więc milczący strząsnął błoto,
Musnął wąsa, śmignął konia,
I przez strugi i przez błonia,
Ruszył cwałem wraz z chołotą.

Tak gwarzyli, aż przybyli,
I Wojskiego sług gromadkę,
Drabów chłopów i czeladkę,
Co się jeli opór stawiać,
Przetrzepali, rozpędzili,
I nuż kopce rydlem macać,
A przetrząsać a przewracać...

Błysło słonko. Czarnych chmur
Rozbiegł się posępny cień,
I zajaśniał cudny dzień,
I brzmiał zewsząt ptasząt chór.
Cały piękny Boży świat,
Wdzięczny życia przybrał strój:
Tu zabrzęczał muszek rój.
Tam woń lubą rozsiał kwiat.
Rotmistrz milczał. Błędny wzrok
Podniósł w modrą nieba toń,
Gdzie chmur wątłych niknął mrok,
I do serca przycisł dłoń,
A w zadumie wciąż tak stał,
Snadź go zwładnął przeczuć cień,
Jedno by ten złoty dzień,
W swym promieniu przyszłość siał.
Spojrzał błędnym wzrokiem w dal,
A wśród mglistych rosy fal,
Świecił schludny, jasny mur:
To Wojskiego bielił dwór,
Lecz co dziwna, żadna złość
Nie chciała mu w sercu rość,
Chociaż patrzył na ten próg,
Gdzie zawzięty mieszkał wróg;
Owszem, pierś mu ścisnął żal,

I wzrok pono zaszed łzą,
I tak tęskny patrzył w dal,
Jakby przeczuł przyszłość swą.

W tem od strony gdzie stał bór,
Poczet jezdców wyciekł drobny,
Poczet zasię nieosobny,
Jedno kilku ludzi zbiór,
I wnet zniknął kędy chłód
Gaj roztaczał drogą wzwyż,
Kędy stary czernił krzyż,
A wraz koński tętnił chłód.

Stary wartko rydol cisł
I wzrok mu otuchą błysł:
—Ejże! jak mi miły Bóg,
Pono k'nam się wali wróg!
Ejże! chłopcy szable w dłoń,
I na ocel w miejscu stać:
Jak wróg przyjdzie—śmiało doń
A jak zagram, ze mną grać.

Już się zaczął szerzyć gwar,
Gdy z za wzgórza pośród jar,
Wybiegł szereg jezdców wzwyż,
Kędy stary czernił krzyż.

Spojrzą—zasię zmilkną wraz,
A choć poczet ku nim kroczy,
Rozlepili wszyscy oczy,
Jakby piorun z nieba trzasł,
Jedno wiarus stare licho
Szepce sobie z przodku cicho:
—Święty Jacku, ratuj nas!

Cóż powiecie—iście cud,
Wróg harcuje ku nim śmiele,
A na nieprzyjaciół czele,
Białogłowa dzierży przód.
A nie jędza to postraszna,
Sekutnica z łysych gór,
A nie mulier zaś rubaszna,
Co się w męża stroi wzór,
Ale dziewczę młodych lat,
Której wdziękiem błyszczy świat.

Twarz jej smagła, gęsta brew,
Więza szczupła, czarny kos,
W piersi dźwięczy cudny głos,
Niby ptaszków leśnych śpiew;
A zaś oko—istny czar!
W tysiąc ogni błyska żar,

Milczą draby, szereg sług
Stoi zasię pośród dróg,
A każdy rozlepia wzrok,
Jakby nocny zćmił ich mrok,
Rotmistrz zaś co przodek trzyma
I porucznik stare licho,
Coś mamroczą sobie cicho
I każdy się czapki ima.

Dziewczę nie przykłoni głowy,
Ale dzierżąc zawżdy prym,
Zasię stanie przeciw im,
I temi zagada słowy:
— Kto pryncypał jest tu z was?

Oba milczą zfrasowani,
Przy nadobnej wdziękiem pani,
Każdy by pod ziemię wlazł,
Wreszcie oba wskażą na się,
Ten na tego, ów na tego,
I z frasunku snadź wielkiego
Cofną kroku w onym czasie.

Ale rycerska dziewica,
Czy po nastrojonej minie,
Czy po wąsie, czy czuprynie,
Pozna butnego szlachcica,
I spojrzawszy na sąsiada,
Znów tym kształtem doń zagada:
—A to zajazd, mości panie,
Sporządziłeś w oną dobę:
Zbrojną ręką najść chudobę,
Zdrapać kopce, zbić pachołki,
Czyż za chlubę wam to stanie?

Rotmistrz znów za czapkę ima:
—Mościa panno, bez uchyby
To się stało: trefność niby,
Lecz w tem kęsu najścia nie ma.

Dziewcze spojrzy ściągnie brew,
W pięknych oczach błyszczy gniew,
I tak wiedzie swoją rzecz:
—Mości panie, to jest źle,
Takim czynem parać się.
Gdy kto zbluźni wszak jest miecz,
Kto zmesławi—jest ci dłoń,
Toć szabelka, toć i koń!
Gdyby jeszcze działać wręcz,
Śmiało, butnie wroga zbość,
I zaś jawnie zrządzić złość,
Ale widząc pusty dom,
Tak omacnie tu się wkraść,
I tak chyłkiem z służbą wpaść...
Mości panie, to jest srom,
To jest hańba, to jest wstyd!
O nie działa szlachcic tak,
Ale niedorosły żak,
Bisurmanin, chytry żyd...

Rotmistrz ze zwieszonym łbem,
Stoi blady, na wpół żywy,
Bo choć czuje inwektyny,
Odeprzeć ich nie ma czem,
Jednak ozwie się nieśmiało:
—Wielce mi mościwa panno,
Co się stało, to się stało,
A jam nie krzyw. W oną dobę,
Zgrabiliście mi chudobę
W własnem mieniu—podstarości
Nakładł w ucho siła złości,
I czart skusił, aleć przecie,
Ja ustąpię gdy tak chcecie.

—I winniście to uczynić,
Przerwie dziewczę; jam niewiasta,
Lecz gdyby kto śmiał zawinić
Mi na świecie, jak Bóg w niebie,
Ja trefować nie dam z siebie!
Szczupły wprawdzie orszak mój,
Lecz jeśli gwałt chcecie szerzyć,
I okęsać ojca mienie,
Zabaczywszy co sumienie,
Ja się zdołam z wami zmierzyć,
I zawzięty stoczyć bój:
Raczej gardłem płacić wolę,
A sromoty nie dozwolę.

Gdy tak prawi, Rotmistrz bokiem
Zerknął na swych jednem okiem,
Snadź odwrotu daje znak;
Lecz Porucznik stare licho,
Znów pod wąsem siedzi cicho:
—Ej mospanie, wracać tak
Bez odmachu...

—Trudna rada!
Toć inaczej nie wypada.

—Szydzić będą!

—Szczęść im Boże!

—I powiedzą w onej porze,
Że nas baba pogromiła.

—Niechaj prawią sobie gwoli!

—Panie Jacku, a toć boli
Słyszéć w ten wzór gadki płoche:
Jam leciwy, żyłem siła,
A krew pono we mnie wre,
Ejże panie, ruszmy się
Społem krzepko kopce strząść,
Zasię drabów i czeladkę
Łupu, cupu—a sąsiadkę
Mocium panne w jasyr wziąść!

—Broń nas Boże! Rotmistrz rzeknie,
By wyrządzić taki srom,
A toć iście jest niepięknie...
Dixi, finis—dalej w dom!

Próżno się porucznik żżyma,
Próżno sypie argumenta:
—Cudze mienie to rzecz święta,
Kto w nie godzi z biesem trzyma!...
Rotmistrz rzeknie i nie słucha,
Chociaż stary mu do ucha
Tysiąc bredni kłaść się ima.

I raz pierwszy w onej chwili,
Oba śmiali harcownicy,
Znani z dzielnej swej prawicy,
Tak sromotnie bój skończyli.

PANI PODKANCLERZYNA.

opowiadanie historyczne

z czasów panowania Jana Kazimierza.

przez

Michała Jezierskiego.

(Dalszy ciąg).

Napad na pałac.

Pan Radziejowski ze swoim hufcem dniem i nocą pędził ku Warszawie. Na trzeci dzień stanął u bram stolicy. Zapytano go jakich żołnierzy prowadzi, odpowiedział, iż wiedzie ich na usługi Rzeczypospolitej. Poznano podkanclerzego, oddano mu należne honory i wpuszczono z całym orszakiem do miasta. Stanął w oddalonej gospodzie, i pokrótkim wypoczynku oznajmił ochotnikom, że pójdzie na ich czele pochwycić pewnego przestępcę skrywającego się w jednym z pałaców. W parę godzin gdy dobrze się już ściemniło, Radziejowski prowadził swój oddział i przyszedłszy na teraźniejsze Krakowskie przedmieście, przed jednym z odosobnionych gmachów go zatrzymał i ścicha wydał rozkazy. Serce mu biło gwałtownie na myśl że stanął u kresu, że za doznaną zniewagę straszliwą zemstą zapłaci. Zastukał do zamkniętej bramy,

odźwierny myśląc iż to który z Litwinów wraca podpiły z jakiejś hulanki, rozwarł wrzeciądze lecz w tejże chwili wpadł podkanclerzy a za nim jego ludzie i wnet odźwiernego związano i pod strażą zatrzymano.

W największem milczeniu reszta uzbrojonych zajęła dziedziniec pałacowy.

Wewnątrz, w ogromnej sali rzęsisto oświetlonej siedział za stołem podskarbi ze swoją szlachtą; gąsiory i butelki stół zalegały, przed każdym stały szklanice napełnione winem, wrzawa, krzyki i śpiewy rozlegały się po całym pałacu. Radziejowski wybrawszy dwudziestu kilku najdzielniejszych rębaczy, w cichości wszedł z nimi do wnętrza, resztę oddziału zostawił na dziedzińcu z rozkazem aby nikogo nie wypuszczono. Otworzywszy podwoje sali w której biesiadnicy o niczem nie wiedząc w najlepsze ucztowali, nagle stanął przed nimi i gromkim głosem krzyknął:

— Precz mi za drzwi hołoto! precz z mego domu!

Wszyscy się zerwali nie mogąc pojąć czy to sen czy jawa, czy figiel szatański, który im ukazuje widmo podkanclerzego, aby ich skonfudować: prędko jednak przyszedłszy do siebie każdy rzucił się do szabli, podskarbi głośno zawołał:

— Obaczymy kto silniejszy i kto tu zostanie! Weźmy ich na szable mości panowie bracia! A po naszemu!

Rapiry i szable się skrzyżowały, zgrzytnęły złowrogo, bitwa na dobre zawrzała, lecz trzeźwi ochotnicy Radziejowskiego mieli przewagę nad podpiłą szlachtą. Nie jednemu już ze łba krew trysnęła nie jeden jęknął boleśnie, lecz widok krwi rozwścieklał, więc z obu stron zajadłość się wzmogła. Radziejowski wołał:

— Bijcie te borsuki litewskie!

Ze swej strony wołał podskarbi:

— Górą Litwa! w pień tych ślepych mazurów!

Dzielnie walczono ze stron obu, ale podskarbi widząc przewagę ochotników podkanclerzego; wskoczył na stół i szablą wszystkie świece ze świeczników wytrącił. Ciemność ogarnęła walczących. Korzystając z tej chwili Litwini wymknęli się na dziedziniec pałacowy, lecz tam spotkali się z nową siłą, rozpacz ich ogarnęła i podwoiła zajadłość. Była to walka nie ludzi, lecz dzikich zwierząt, jeden na drugiego rzucali się wściekle, już kilku Litwinów leżało zakrwawionych na bruku, cała nadzieja była w zdobyciu bramy i wydostania się na zewnątrz, zwrócili się więc tam całą siłą. Wybito bramę i wraz z panem podskarbim wszyscy na zewnątrz się wysypali. Tu bój krwawy na nowo się rozpoczął, kilku Litwinów padło trupem, reszta zdołała umknąć do miasta.

Pan Radziejowski wróciwszy do pałacu, ze świecznikiem w ręku udał się wprost do komnaty żony, i we drzwiach już zawołał:

— Ty jesteś sprawczynią tego wszystkiego! krwią twoją zapłacisz za krew wylaną!

Zdało mu się zrazu że złość i zemsta zaćmiła mu oczy, iż nie mogą dojrzeć tej która tu być by powinna. Szukał jej po komnacie, chciał odkryć miejsce gdzie się schroniła, lecz przeszukawszy wszystkie kąty przekonał się że nigdzie jej nie było aż zatoczył się i jakby apopleksyą rażony padł na krzesło. Przez jakiś czas siedział tak w niemem osłupieniu, wtem nagle zerwał się na nogi, piorunującym głosem zwołał służbę i cały fraucymer i rozpytywał co się z panią stało. Wszyscy jednozgodnie oświadczyli, że tegoż jeszcze rana wyjechała ale gdzie, o tem nikt nie wiedział. Radziejowski mruczał wściekle, wielkiemi krokami chodząc po komnacie:

— Ha! chwila zemsty się przewlekła! ale ona mi to zapłaci! Cały świat poruszę aby ją znaleźć, aby jej krwią to pragnienie zemsty ugasić!

Przeszedłszy do swej komnaty, pałac rozkazał oczyścić, zmyć ślady krwi a trupy zakopać w lochy; kazał się zebrać ochotnikom i sowicie ich wynagrodziwszy rzekł im:

— Waszej usługi nie potrzebuję więcej, wracajcie każdy do siebie, o tem co zaszło nic nie gadać; a i prędko opuśćcie Warszawę, abyście nie byli zamieszani do mojej sprawy, bo gardłem za to moglibyście odpowiadać.

Zatrwożeni ochotnicy wymknęli się z pałacu i tejże nocy opuścili stolicę.

Jakaś głucha wieść o tych wypadkach doszła aż do zamku, lecz nikt o nich dobrze nie wiedział.

Dopiero zrana, podskarbi kazawszy zabrać kilka trupów, otoczony pokrwawioną szlachtą wszedł na zamek, złożył pobitych pod oknami króla, a sam udał się na pokoje domagając się posłuchania. Stanąwszy przed Janem Kazimierzem, w te odezwał się słowa:

— Najjaśniejszy panie! przynoszę trofea zdobyte przez wysokiego urzędnika Rzeczypospolitej, podkanclerzego Radziejowskiego Racz spojrzeć przez okno, u twoich podwoi cały zastęp poczciwych braci z porąbanemi głowami, domaga się sprawiedliwości. Straszny gwałt spełniony został tej nocy w pałacu podkanclerzyny, Radziejowski napadł na jej dom, broniących się porąbał i pozabijał i sam osiadł w zdobytym pałacu. I wszystko to działo się pod twoim okiem prawie, zaledwo o kilkaset kroków od zamku w którym król przebywa. Taka zbrodnia jest przewidziana konstytucyami. Ukarz ją i osłoń uciśnionych twem opiekuńczem skrzydłem.

Król się wypytywał o szczegóły napadu, a potem rzekł:

— Bądź spokojny mości podskarbi, dziś jeszcze zwołam radę i zasłużona kara wymierzoną będzie, a po chwili dodał:

— Cóż się stało z twoją biedną siostrą?

— Od zajścia z mężem, odrzekł Służka, schroniła się do klasztoru Klarytek, usunęła się od świata aby błagać Boga o spokój dla siebie a pomyślność dla waszej królewskiej mości.

— Powiedźcie podkanclerzynie, rzekł król, że serce moje żywo jest przejęte tym wypadkiem, że współczuję jej niedoli i ochronię od tych niesprawiedliwych ucisków i gwałtów zbrodniczych.

Podskarbi wychodząc z zamku spotkał się z instygatorem Żytkiewiczem, który z rozweseloną twarzą rzekł do niego:

— Panie podskarbi, wszystko jak najlepiej idzie.

— A do stu dyabłów! zawołał Służka. Moją poczciwą szlachtę porąbano, kilku zabito, a jegomość mówi że wszystko najlepiej idzie! Podkanclerzy tryumfuje, siostra w klasztorze, ja wypędzony z pałacu i to cieszy pana instygatora?

— Cieszy mnie niewypowiedzianie, odpowiedział Żytkiewicz, obaczysz panie podskarbi koniec tego tryumfu. Wszystko poszło jakiem przewidywał, Radziejowski wyrok banicyi sam na siebie podpisał.

— Ma on protektorów panie instygatorze, książę Zasławski, wojewoda Kisiel, miecznik Zamojski, staną w jego obronie, a wreszcie jego wysokie dygnitarstwo osłoni od surowej kary.

— Bądź spokojny panie podskarbi, mamy silniejszego za sobą, wszystko pójdzie jak z płatka, tylko trzeba działać zręcznie i prędko.

Król wezwał do siebie kanclerza Leszczyńskiego, marszałka nadwornego Łukasza z Bnina Opalińskiego i wielkiego instygatora Daniela Żytkiewicza; wszyscy trzej byli wrogami Radziejowskiego. Król się ozwał do Opalińskiego. *)

— Zbrodnia pod okiem naszym dopełniona, jest ubliżeniem naszemu majestatowi, rozkazuję wam zapozwać Radziejowskiego przed trybunał królewski.

— Ta sprawa, rzekł kanclerz, nie do królewskiego, lecz do marszałkowskiego sądu należy, marszałek bowiem ma prawo miecza w obrębie stolicy, a król nie ma potrzeby za wyroki ściągać na siebie prywatnych nienawiści

Król przystał na zdanie kanclerza i rozkazał natychmiast marszałkowi nadwornemu zapozwać przed sąd swój Radziejowskiego, o gwalt i obrazę majestatu, przez wielkiego instygatora Żytkiewicza.

Radziejowski siedząc w pałacu, gdy się dowiedział o rozporządzeniu królewskiem, bynajmniej tem się nie stworzył, wiedząc że sąd na tak wysokiego urzędnika jakim był Radziejowski, nie należy do sądu marszałka nadwornego, ale do sejmu tylko. A nim się sejm zbierze, będzie miał czas trafić do króla, który mu był winien swoją elekcyę i kary za napad zupełnie uniknie lub ją ułagodzić potrafi.

Pani podkanclerzyna dowiedziawszy się o wypadkach, mało nie omdlała na myśl co by się z nią stało, gdyby nie posłuchała rady Hirszówny i pozostała w domu; zawołała więc ją i rzekła:

— Ty mnie wybawiłaś z wielkiego niebezpieczeństwa kochana Hirszówno.

— Cieszę się, odrzekła panna Marta, że Bóg mnie natchnął tą myślą, tu pani spokojną być może o bezpieczeństwo wszelkie.

— Tak, to prawda, przerwała Radziejowska, za kraty klasztorne nikt się nie przedrze, jest bezpieczeństwo, ale też i drogo opłacone.

— Zakonnice wielkich ofiar niezwykły przyjmować, odpowiedziała panna Marta.

— O wynagrodzeniu pieniężnem nie mówię, ale to bezpieczeństwo okupuję moja Marto nudami do nieznieśienia; jak te zakonnice mogą tu wyżyć, nie rozumiem. Przy zdrowych zmysłach zamknąć się w tych murach, to rzecz której ja pojąć nie mogę.

— Ach! pani, ja rozumiem to życie. Cóż świat dać nam może? Czyż dopiąwszy jakich celów, one długo nasycić nas mogą, a oswoiwszy się z doznaną pomyślnością, gonimy znowu za jakiemś marzeniem, ciągle pragnąc i pragnąc coraz więcej. Czyż to może nazwać się życiem? Czyż pani. zrodzona we wszystkich warunkach szczęścia, może się nazwać szczęśliwą? Nie, szczęścia nie ma na ziemi, im człowiek dalej się trzyma od świata, tem bliższy jest szczęścia. Zakonnice zrywając ze światem, żyjąc z Bogiem, stają na progu szczęśliwości, mają przedsmak tej niebieskiej rozkoszy, która w przyszłem życiu je czeka.

— Moja Marto, przerwała Radziejowska, słuchałam cię cierpliwie, ale muszę przerwać bo nigdybyś nie skończyła. Nie rozumiesz, nie znasz życia, nie pojmujesz jakie ono zawiera słodycze. Niczem są cierpienia, którym każdy człowiek podlegać musi w porównaniu z rozkoszą, jaką życie światowe dać może. Żyć, to jedyne moje pragnienie! Otoczyć się światem i jego skarbami, ludźmi którzy mi biją czołem, wynoszą i uwielbiają, to dopiero jest życie! O innem, nie myślę. Gdy się ziemskie

*) Historyczne. Rudawski.

skończy, obaczymy co nam Bóg przygotował. A tu, używać życia, to zasługa, bo żadnych Bożych darów poniewierać i marnować nie wolno.

— A ofiara, a poświęcenie, a cierpienie nawet? odrzekła Marta, czyż nie mają swoich rozkoszy? One tylko uświęcają życie i uzacniają człowieka.

— Moja Marto, z temi maksymami będziesz zawsze nieszczęśliwą; ale twoje morały odwiodły mnie od rzeczy. Oddałaś mi wielką przysługę, ochroniłaś mnie od wielkiego nieszczęścia. To rzekłszy wzięła leżące obok pudełeczko z klejnotami, i oddając je Hirszównie dodała:

— Weź, to dla ciebie jako nadgroda za twą dobrą radę.

Marta nie dziękując trzymała w ręku klejnoty i na nie dość smutnie spoglądała.

— Czy ci się może niepodobają? zapytała Radziejowska zdziwiona jej milczeniem.

— Owszem pani, ale one za kosztowne są dla mnie, i przykro mi że za oddaną usługę płaci mi pani zaraz jakby za jaki towar. Słowo z serca wypowiedziane byłoby stokroć dla mnie droższe nad wszystkie skarby świata.

— O moja Marto! te zimne kamienie więcej ci się przydadzą w życiu, jak moje najserdeczniejsze słowo.

Panna Hirszówna milcząc ucałowała rękę podkanclerzyny i wyszła z jej komnaty.

Cała Warszawa o niczem nie mówiła, jak o napadzie Radziejowskiego i o jego sprawie w juryzdykcyi marszałka nadwornego. Jedni byli za królem, drudzy za Radziejowskim.

Królewscy utrzymywali, że stanąwszy wysoko, przewrotnie używał nabytej wziętości, że dla króla był przykry, przypisywano mu haniebne pierzchnięcie hufców polskich pod Pilawcami, twierdzili że za jego sprawą zniechęcone zostało wojsko i szlachta ku królowi pod Beresteczkiem. Stronnicy zaś Radziejowskiego oceniali jego bystry umysł, szczere i mocne przekonania, dziwne szczęście jakiem za Władysława IV kierował publicznemi sprawami, oraz niestrudzoną, uporczywą wytrwałość we wszelkich przedsiębranych pracach. Utrzymywali oni że ród i krew jego, oraz związki familijne i urząd dygnitarski, niepozwalają lekko się z nim obchodzić; dowodzili także iż zawsze strzegł swej dobrej sławy i że on jeden potrafi przychylić na stronę królewską zniechęconych magnatów i szlachtę, nakoniec że sprawa jego należy tylko do sejmu.

Mimo to jednak wyrok marszałkowski przeciw podkanclerzemu ogłoszony został następującej treści:

„Ponieważ z badania sprawy okazuje się, że j. w. pani podkanclerzyna i jej brat podskarbi, niezasłużyli na karę kryminalną, skazują się tylko na zapłacenie grzywien sądowych 2,000 złotych. Ponieważ zaś z tego badania równie się okazało, że j. w. podkanclerzy koronny napadł na dwór i zabił kilku ludzi, sąd zatem marszałkowski jego królewkiej mości, znajduje go zasługującym na karę gardła, a jeżeli nie da się pochwycić, skazuje go na infamią i wywołanie z królewstwa Polskiego, jakowy wyrok ma być przez woźnego obwołany.“

Szukano Radziejowskiego po całem mieście, lecz ten widząc grożące mu niebezpieczeństwo, uprzedzony przez przyjaciół, zdołał się schronić do klasztoru OO. Augustianów, którzy nazajutrz ułatwili mu ucieczkę z Warszawy.

Wyrok sejmowy.

Uczuł się Radziejowski opuszczonym, rozgniewawszy króla na siebie, dwór i całą partyę królewską miał przeciwko sobie, przyjaciele nawet nie mieli odwagi otwarcie stanąć w jego obronie. Uciekając z Warszawy zajechał do Piotrkowa i tam napisawszy list do otwierającego się wówczas sejmu, wręczył go jedynemu wiernemu słudze, który przy nim pozostał, zaleciwszy aby go złożył u laski marszałkowskiej.

Pismo owe było w następnych słowach:

„Jaśnie wielmożni panowie, bracia najukochańsi! Przywalony przez wrogów ciężarem nienawiści, jakiego nigdy nie dźwigał żaden obywatel tej ojczyzny, zasmucony nad miarę, waszego posłuchania błagam, i jako do ostatniego schronienia naszej wolności, odwołuję się do was, jako brat wasz z krwi jako towarzysz z godności, świadcząc się niebem i ku niemu serce i oczy podnosząc. Utęsknionemu i sił prawie pozbawionemu ciężko słów dobrać, gdy niewolno swobodnie opłakiwać wypadku. Świadczę się ojczyzną, świadczę się tą nocą, która bodajby była dla mnie ostatnią, kiedy w moim dworze, na publiczne bezpieczeństwo polegając przed oczyma jego królewskiej mości, pana mego najmiłościwszego, mienia mego pozbawiony zostałem i własnym orężem pokonany, a jeszcze przez ludzkie oszustwa, potępiony jestem dekretem, jakiego nikt w wolnej Rzeczypospolitej nie pamięta. Bez oskarzyciela kryminalnie mnie potępiono, a przeciwną stronę skazano cywilnie, tylko dla pozoru, dodano o niesłychanych zabójstwach, wtrącono zbrodnię obrazy majestatu, niewłaściwą temu sądowi, ani tej juryzdykcyi, mnie zaś odarłszy z mienia i obywatelstwa, za wroga ojczyzny obwołano. Jeślim winien zdrady kraju, obrazy majestatu, niech sądzi Rzeczpospolita cała, a wszelką karę gotów jestem ponieść, gdy godnym jej zostanę uznany. Przeciwnie jeślim zgnębiony spiskiem nieżyczliwych mi osób, zaradźcie na miłość ojczyzny, podajcie rękę i wyrwijcie utrapionego i zasłużonego obywatela z otchłani. Odezwijcie się przed majestatem królewskim, ażeby nie gubił wiernego poddanego i uniżonego sługę, obudźcie się bracia najukochańsi, widząc że sąsiedni dach się pali i pomyślcie że to z wami stać się może, co ze mną teraz się dzieje; pomiędzy publicznemi sprawami zaliczcie i moje zaiste nieprywatne nieszczęścia. Chciałbym osobiście złożyć uszanowanie moje waszemu prześwietnemu zgromadzeniu, lecz niektóre sprawy zatrzymały mnie w Piotrkowie. Tymczasem polecam miłości waszej braterskiej siebie i zgnębioną we mnie niewinność i wolność.“ *)

Wyprawiwszy to uniewiniające pismo, sam zaraz wyruszył do Wywiórki, rezydencyi księcia Dominika Zasławskiego, wojewody Krakowskiego, którego żona była bliską jego krewną. Tam rozwodził swe żale, mówił o niegodziwości żony, o gniewie króla, o intrydze nieprzyjaciół i o niesłusznym wyroku juryzdykcyi marszałkowskiej, którym dotknięty jest w niebezpieczeństwie utraty życia, musi się ukrywać a tem samem nie ma możności bronienia się i oczyszczenia z zarzutów. Zaklinał więc wojewodę Krakowskiego, o udzielenie mu karty bezpieczeństwa, zwykle zwanej „Treuga“ albo „List żelazny.“ Zgodził się książę na prośbę nieszczęśliwego krewnego i rozkazał list ów mu wydać. Krótko zabawiwszy w Wywiórce, Radziejowski wyjechał aby się dowiedzieć co się dzieje w Warszawie, lecz wieści dochodziły niepewne, przekonał się tylko że go wszędzie szukają. Wiedział także iż za Jana Kazimierza powaga listów żelaznych osłabła, nie był zatem pewnym czy pod jego zasłoną będzie mógł swobodnie jeździć po kraju. Powziął więc zamiar opuszczenia Polski i wnet przez Austryą udał się do Szwecyi. Tam uprzejmie został przyjętym na dworze królowej Krystyny. Mądra i wielkiego serca pani, przejęta litością nad nieszczęśliwym wygnańcem chciała o ile można los jego osłodzić. Radziejowski znalazłszy się pod opieką potężnej monarchini, poczuł się silniejszym i znowu zaczął marzyć o zemście nad niewierną żoną, chytremi nieprzyjaciołmi, lękliwemi towarzyszami, niewdzięcznym królem, a nawet i nad krajem całym, który nie umiał ocenić jego zasługi i wartości. To uczucie coraz bardziej w nim się roznamiętniało i zapełniało mu życie. Czuł się niesprawiedliwie pokrzywdzonym i uciśnionym, chciał krępujące go więzy rozerwać, i o tem tylko marzył aby mściwym orężem pokonać wrogów. Wszystkie szlachetne uczucia były w nim potargane, nic go nie wstrzymywało, uczucie zemsty tak nad nim zapanowało że wszystkie środki uważał za godziwe aby jej dopiąć. Dla jednej chwili zemsty, zrzekał się chluby całej swej przeszłości.

Tymczasem w Warszawie podzielonej na dwa stronnictwa, królewscy chcieli utrzymać w całej surowości wyrok marszałka nadwornego, przeciwnicy zaś ich usiłowali dowieść nielegalność jego i stawali w obronie podkanclerza, domagając się aby sprawa podaną była do sejmu: następna okoliczność zwichnęła usiłowanie przyjaciół Radziejowskiego.

Mikołaj Zaćwielichowski, wzięty w niewolę w bitwie pod Batowem, użyty został przez Chmielnickiego i wysłany dla wręczenia listu królowi i spełnienia zarazem ustnego poselstwa w obozie polskim. Dano mu dla bezpieczeństwa kilku kozaków którzy go do posterunków polskich mieli doprowadzić. Gdy mały ten oddział przy śpiewie tęsknych dumek kozackich zwolna posuwał się po stepie, spostrzegł Zaćwielichowski jezdzca naprzeciw nich dążącego. Zadziwiła go odwaga nieznajomego, puszczającego się sam jeden w tak niebezpieczną podróż: gdy zrównał się z nim, zatrzymał go i zapytał:

— Mości panie, a dokąd tak dążysz? Czy nieświadomy jesteś kraju? Czy nie wiesz że w tej okolicy każdy krok grozi ci śmiercią? Zkąd i dokąd jedziesz? Może jesteś posłanym do hetmana Chmielnickiego, to powiedz mi co tam słychać w naszym obozie?

— Nic nie wiem, odrzekł jeździec, nie z obozu jadę, ale od kasztelanowej Krakowskiej w poselstwie do hetmana Chmielnickiego, w sprawie jej syna, pana starosty Krasnostawskiego.

— To chyba jedziesz z Hiszpanii! zawołał Zaćwielichowski, gdzie wieści późno dochodzą, gdy nie jesteś świadomy że starosta nie żyje. Wracaj więc i nie narażaj życia na próżne już poselstwo. Na wzmiankę o staroście oburzysz Chmielnickiego, który cię każe wbić na pal, albo co najmniej uwięzić. Ja przez niego jestem wysłany do króla, lecz gdyby nie ten oddział kozaków, trzykroć jużbym zginął; cóż ciebie czekać może samotnie puszczającego się w tę podróż?

— Mam rozkaz kasztelanowej, rzekł nieznajomy, spełnić go muszę.

— Jedź więc na zgubę niechybną, odpowiedział Zaćwielichowski, kto bez rozwagi i dla próżnych celów naraża życie, ten nie wart litości i dobrej rady.

Słowa te przeraziły jeźdźca, zachwiał się w swem postanowieniu, obraz śmierci a nadewszystko mąk jakie mógł przecierpieć, odjęły mu odwagę do dalszej podróży, a szczególniej tajemniczość posłannictwa, nieświadomość celów do których był użyty. Odprowadził zatem na stronę Zaćwielichowskiego i rzekł do niego półgłosem:

*) Rakowiecki.

— Jestem szlachcic Jasieński wysłany przez Radziejowskiego ze Szwecyi, z listem do Chmielnickiego, dla łatwiejszego przejazdu zmyśliłem poselstwo od kasztelanowej Krakowskiej; nieświadomy jestem treści listu podkanclerzego, obawiam się czy nie zostałem użyty do jakiejś tajemniczej intrygi zagrażającej krajowi, Oto list, jeśli nie masz skrupułów, to przeczytaj, i radź co dalej mam czynić.

Podał mu pakiet opatrzony wielką pieczęcią.

Zaćwieliehowski złamał pieczęć, przeczytał i wykrzyknął:

— A ty zdrajco! a łotrze! wnet cię odeszlę do króla.

I uchwyciwszy za cugle konia Jasińskiego, rozkazał swym kozakom rozbroić i otoczyć aby się wymknąć nie mógł, i nie wdając się w dalszą rozmowę z jeńcem, śpieszył do obozu Potockiego. Tam zdał go hetmanowi, opowiedział rzecz całą i wręczył list Radziejowskiego. Hetman kazał okuć Jasieńskiego i wraz z listem pod ścisłą strażą odesłał do króla.

Król się zdumiał przeczytawszy list podkanclerza do Chmielnickiego; natychmiast dla zbadania tej sprawy wyznaczył marszałka koronnego Lubomirskiego, Andrzeja Trzebickiego rejenta kancelaryi i Daniela Żytkiewicza instygatora koronnego, przed którymi Jasiński z prostotą opowiedział wszystko i zaprzysiągł że nic nie wiedział co list zawierał w sobie, a jako dworzanin Radziejowskiego musiał słuchać pana. Sędziowie przekonawszy się o jego szczerości, oraz o dobrowolnem oddaniu pakietu uniewinnili go i uwolnili zupełnie, treść zaś listu postanowili do czasu zachować w zupełnej tajemnicy.

(d. c. n.)

DWIE OFELIE.

DRAMAT W TRZECH AKTACH

przez

J. Belejowską.

(Ciąg dalszy).

AKT II.

W szpitalu obłąkanych w Bethlehem. Rzecz dzieje się przed rokiem 1802, kiedy jeszcze nie istniał dzisiejszy the neu Bethlehem hospital, wzniosiony w 1812 r. Od owego czasu Londyn tak się powiększył, że nowy szpital, wzniesiony pierwotnie o kilka mil angielskich za miastem, mieści się dziś w jego obrębie. Scena przedstawia piękną zieloną murawę, zasłaną kwiatami i poprzerzynaną ścieżkami i kląbami krzewów, gdzieniegdzie ławeczki, po obu stronach porozrzucane wśród drzew małe parterowe domki, każdy domek stanowi oddzielną celkę. Okna opatrzone grubą kratą. W głębi sceny widać w oddali wielkę kratę żelazną zamykającą ogród, w środku niej drzwi stanowiące główne wejście.

SCENA PIERWSZA.

Sunday, Brown (dozorcy zakładu).

Brown (nowo przyjęty). Więc mówisz, panie Sunday, że nowy dyrektor rozkazał nie sprzeciwiać się w niczem tej oto przechodzącej się tam zakwefionej pani?

Sunday. Tak jest; lecz nie bój się kolego, jest ona bardzo łagodna.

Brown. John mówił mi że rybacy, u których pędziła pierwsze kilka dni po wyratowaniu z Tamizy, powiadali przywiozłszy ją tu, że gdy bezprzytomną wydobyli z wody, miała na sobie ubiór ślubny... Dziwna doprawdy fantazya topić się w takim stroju.

Sunday. Rzeczywiście tak było. Miała na sobie kosztowną białą atłasową suknię, koronkowy welon, a na maleńkich nożynach, białe atłasowe trzewiczki; na głowie wieniec ślubny i takiż bukiet przy boku. Wprawdzie nie byłem wtedy w zakładzie, miałem urlop na dni kilka, ale widziałem ten jej strój nieraz; dyrektor kazał zachować go w składzie, — może kiedyś posłuży do wykrycia kto ona jest.

Brown. Dziwna rzecz doprawdy. I nikt ją dotąd nie odwiedził, nikt nie zapytał o nią, nikt jej nie zna?

Sunday. Nikt a nikt,—zresztą ani na chwilę nie podnosi zasłony, — ja sam, nie widziałem jej twarzy.

Brown. A czy przy niej nie było nic coby mogło na jakiś ślad naprowadzić?

Sunday. Nic podobnego.

Brown. Szczególna rzecz. I nie możnaż było dowiedzieć się od niej, wybadać, co było powodem tak rozpacznego postępku?

Sunday. Rybacy przywieźli ją bardzo chorą, kilkanaście dni leżała w malignie, a gdy odzyskała siły pokazało się że ma pomieszanie zmysłów. Daremnie p. Taylor naczelny lekarz zakładu i miejscowy kapelan p. Jarwis, niejednokrotnie długo i szczegółowo ją badali, nic się dowiedzieć, nic wyrozumieć nie mogli... Teraz jest nadzieja że odzyska rozum; jest o tyle lepiej że nieraz całe godziny rozmawia najprzytomniej, ale lekarze lękają się przypominać jej, straszną jakąś jak wszystko wnosić każe, przeszłość, aby nie popadła w nieuleczone obłąkanie.

Brown. Wszak nieraz się zdarza że podobne wstrząśnienia przywracają rozum.

Sunday. Tak, ale częściej jeszcze zabijają.

Brown. Wczoraj stała przed swoją celką, rozmawiałem z nią długo, i gdyby nie to że ciągle najstaranniej zasłaniała się welonem i opowiadała mi przeróżne dziwy o cudownych kwiatach które chodują, zapewne na księżycu bo w celi nie ma nawet pokrzywy, wydawała mi się zupełnie przytomną.

Sunday. I dla tego właśnie, doktorzy zostawiają jej zupełną swobodę i w niczem nie każą się sprzeciwiać.

Brown. A któżby miał serce jej się sprzeciwiać. Taka uprzejma, dobra, łagodna... tak lubi świeże powietrze, słońce, drzewa, kwiaty. (słychać dzwonek).

Sunday. Ktoś dzwoni u kraty.

Brown. A! dziś wolno zwiedzać zakład; pewnie znowu jacy goście. Trzeba otworzyć.

(Wolno bardzo idą ku bramie, zobaczywszy powóz Sunday mówi).

Sunday. Śliczny ekwipaż! jakie rasowe konie!... i groom tak pięknie ubrany. (znowu daje się słyszeć nieco niecierpliwe dzwonienie).

Brown (opryskliwie). Zaraz! zaraz! (do Sunday'a) Myślałby kto że się pali.

Sunday. A, rzeczywiście... Ciekawym co im tak pilnego.

(Zwolna dochodzą do bramy i nareszcie otwierają; wchodzi Henryk i Anna).

SCENA DRUGA.

Ciż, Henryk, Anna.

Henryk. Tak długo czekaliśmy.

Brown. Byliśmy dość daleko.

Sunday. Ach! to pan... gdybym był wiedział... daruj pan... (do Browna) kolego, to pan Henryk Booth, słynny artysta z Drury Lane, który przyjeżdża tu studyować naszych pensyonarzy... Pamiętaj że jemu zawsze i w każdej porze, wolno wchodzić do zakładu. (Brown kłania się Henrykowi, Sunday patrząc na Annę którą Henryk prowadzi pod rękę). Ach!...

Henryk. Cóż to?...

Sunday. Dawniej przyjeżdżała tu z panem inna pani, taka śliczna, pociągająca.. (zapytanie to, wielkie choć odmienne czyni wrażenie na Annie i Henryku; po chwili, ochłonąwszy, Henryk mówi stłumionym głosem).

Henryk. Ta śliczna pani... już... nie żyje.

Sunday. Ach! mój Boże!... Dawno?

Henryk. Od ośmiu miesięcy,

Sunday. Co za szkoda!... już lepiej żeby była dostała pomieszania zmysłów... bylibyśmy ją otaczali jak najtroskliwszemi staraniami.

Henryk (zamyślony trze czoło, jak gdyby chcąc odpędzić uparte wspomnienia; po chwili zapanowawszy nad wzruszeniem mówi) Proszę powiedz mi, czy nie macie jakiego pensyonarza nad którym mógłbym robić studya?

Sunday. Niestety! nie. Doprawdy aż strach pomyśleć jaki świat teraz rozumny! Nie wiem do czego przyjdzie jeśli tak będzie dalej! .. Czy uwierzysz pan, że odkąd zabroniono zajmować się polityką, coraz większy brak waryatów uczuwać się daje?... Mamy wprawdzie kilku obłąkanych polityków, no! bo bez tego nigdy się nie obejdzie... ale już to nie to co dawniej... Miłość daje jeszcze pewien kontyngens... zazdrość także bywa reprezentowana... ale zawsze najwięcej mamy szulerów, bankrutów i samolubnych próżniaków... O! na tych nigdy nie zbywa.

Henryk. Ale czy nie mógłbyś mi wskazać którzy są najoryginalniejsi, najwięcej odznaczający się cechami dającemi się pojąć i naśladować.

Sunday. Przejdźcie państwo dalej, bliżej części ogrodu przeznaczonej dla niebezpieczniejszych, myślę że tam znajdziesz pan czego szukasz. (słychać dzwonek z wewnątrz zakładu) Ach! daruj pan, musimy odejść, to dzwonek dyrektora...

Brown. A pan Diexon, dobry sobie człowiek, ale dyabelnie niecierpliwy.

Sunday. No, jeszcze on, jak on, ale szanowna jego połowica, to istna zapałka.

Henryk. Nie zatrzymuję was, znam dobrze miejscowość.

(Dozorcy kłaniają się i odchodzą, Henryk spuszcza głowę na piersi w głębokiem zamyśleniu).

Anna. Ten dozorca bolesnem wspomnieniem zakrwawił twe serce.

Henryk. Znał Antonię.. i on także uległ urokowi jaki mimowiednie roztaczała, i bardzo ją lubił. (po chwili) Ach! dotąd pojąć nie mogę jak się to stać mogło... Niepodobna prawie przypuścić rozmyślnego samobójstwa.. bo krótkie odłożenie naszego ślubu, nie mogło przecież popchnąć jej do tak rozpacznego kroku.

Anna (pomieszana). Rzeczywiście... stało się tak nagle... zapewnie nadto wychyliła się za balustradę balkonu... nieszczęśliwy przypadek... Ja właśnie wtedy wyszłam do drugiego pokoju... (po chwili) Tak często tu z nią bywałeś, że wszystko w około żywo ci ją przypomina.

Henryk. Ha! nie mówmy już o tem... dziś powinienem zadać gwałt sercu, zapomnieć o wszystkiem i myśleć tylko o sztuce.. Wszak za tydzień mamy grać Hamleta w teatrze dworskim w Buchingham, w obec króla, królowej i całego dworu.

Anna. Ach! sama myśl o tem przejmuje mnie dreszczem obawy... jakże to ciężkie dla mnie zadanie!...

Henryk. Bądź spokojna; przedstawienie to będzie przed witem twojej sławy.

Anna. A jeśli stanie się jej zachodem? Ta rola Ofelii..

Henryk. Prześliczna! Tak wdzięczna i zajmująca.

Anna. Ale tak nadzwyczaj trudna.

Henryk. Wszystkie role wytworzone rozgorączkowaną wyobraźnią Szekspira są nader trudne do oddania... a mało która równie wdzięczna.

Anna, Antonia oddawała ją tak mistrzowsko, że od chwili... jej śmierci, żadna artystka nie odważyła się jeszcze wystąpić w tej roli.. Wiem że w twoich szczególniej oczach, nigdy nie zdołam jej dorównać.

Henryk. Przedewszystkiem staraj się tylko zgłębić główne zasady wywoływania wrażenia... dla tego właśnie tu cię przywiozłem. Rozpatruj się bacznie w jaki sposób obłąkanie objawia się, działa, mówi, wyraża, nietylko słowem lub czynem, ale szczególniej spojrzeniem, w którem zazwyczaj najwyraźniej się uwidocznia. Badać i studyować żywe wzory, oto główne zadanie artysty.

Anna. Ach! nie ma trudów którychbym nie podjęła, byle tylko zyskać powodzenie w tej roli.

(Podczas tej rozmowy usiedli na ławeczce, stojącej pod drzewem obok murawy. Henryk smutny i roztargniony, z okiem wlepionem w ziemię, sam nie wiedząc co robi, zrywa źdźbło trawy i machinalnie zbiera je w pęczek. Anna spoglądając na niego mówi na stronie).

Kocha ją zawsze, nieustannie myśli o niej i zapewnie nigdy nie zapomni... a mnie pozostanie wieczny wyrzut sumienia!...

Henryk (jakby ockniony). Zapominam co nas tu sprowadza... otóż nadchodzą obłąkani, uważajmy.

SCENA TRZECIA.

Ciż, Mężczyzna, Kobieta.

Mężczyzna (kłótliwym głosem). Co za śliczna pogoda!... jakie orzeźwiające powietrze.

Kobieta (j. w.). Co mi za pogoda!... na niebie przesuwają się chmury, i chłodny wiatr zawiewa.

Mężczyzna. Co też mówisz! jeśli takie ciepło potrwa, będziemy mieli groszek wpierwszych dniach maja

Kobieta. A to dopiero!... groszek pojawia się dopiero w czerwcu.

Mężczyzna. W maju!

Kobieta. W czerwcu!

Mężczyzna, W maju! w maju! w maju!

Kobieta. Mówię ci że w czerwcu! w czerwcu! w czerwcu!

Henryk (cicho do Anny spoglądającej z niejaką obawą). Uważaj bacznie, to waryaci komiczni, a głównie odznaczające ich cechy: mowa prędka, szydercze wejrzenie, chód prędki i ruchy narwane.

Anna Ciszej!... gdyby cię usłyszeli. (w tejże chwili mężczyzna zwracając się do Henryka zapytuje).

Mężczyzna. Co pan tu robisz?

Anna. Ach!

Henryk (uspakaja ją wejrzeniem). Przyjechaliśmy... zapytać czy pan jesteś zadowolniony ze swego tu pobytu.

Mężczyzna, Bardzo!... bardzo!

Kobieta. Ale co panu do tego?

Mężczyzna (cicho) Cicho! to zapewnie jaki pan piszący sprawozdania o zakładach publicznych.

Kobieta. Tak!... a więc dobrze (głośno) Wiedzcie państwo tedy, że mamy bardzo niedogodne mieszkanie.

Henryk. Wierzę pani.

Mężczyzna. Cóż znowu! Istne grymasy; wierzaj mi pan, słowo honoru; mamy wszystkie wygody Mieszkanie zdrowe, miłe, wesołe; rozkoszny ogród, park, świeże powietrze i widok prześliczny.

Kobieta. Nie wierz pan; widok tak jednostajny że można umrzeć z nudów... a nadto tak daleko od miasta, teatru, spacerów, słowem daleko od świata za którym przepadam.

Henryk (cicho do Anny). Uważaj bacznie, widać była to kobieta samolubna i bezmyślna, i samo nawet obłąkanie wad tych nie zagłuszyło. (głośno) Trochę cierpliwości, wszak bawisz tu pani chwilowo tylko...

Kobieta. Gdyby też nie ta myśl pocieszająca, powiesiłabym się z rozpaczy.

Mężczyzna. Ja mam nadzieję że całe życie tu pozostaniemy, i bardzo się cieszę z tego. Tak miłe ustronie!

Kobieta. Tak straszne więzienie!

Mężczyzna. Istny raj ziemski!

Kobieta Istne gorejące piekło!

Henryk (do Anny). Uważaj bacznie, kobieta zaczyna się unosić.

Kobieta. Więc upierasz się pan przy swojem zdaniu że to raj ziemski?...

Mężczyzna. Jak najrozkoszniejszy.

Kobieta. Więc sam pozostaniesz w tym swoim raju, bo ja go niezwłocznie opuszczę.

Mężczyzna. Ta! ta! ta!

Kobieta. Zaraz jadę do Londynu.

Mężczyzna. Szczęśliwej drogi!

Kobieta. A! tak to! więc żegnam. (zwraca się prędko ku bramie; mężczyzna biegnie za nią śmiejąc się i wołając):

Mężczyzna. Juljo! Juljo! Juljo!

Henryk. Czy uważałaś ten śmiech, jego dziwne zmiany i nerwowe wybuchy?... Wyborny wzór do naśladowania... Dalej, czy zwróciłaś uwagę, że ilekroć kobieta mówiła prędko, trzymała ręce prawie nieruchomie, jeśli zaś zwalniała mowę, wyprawiała rękami jakby konwulsyjne ruchy. Jest to sprzeczność nader charakterystyczna, na którą pilną należy zwracać uwagę, bo to jedna z najgłówniejszych cech podobnego obłąkania, wielki effekt sprawiająca na scenie... Ale cóż to za hałas?

Anna. Ach! dwóch waryatów wypadło z celi; patrz tylko jak gwałtowne ruchy... pójdźmy ztąd.

Henryk. Ależ nie obawiaj się... zostańmy i nie spuszczajmy ich z oka.

(d. c. n.)

Kłopoty w Irlandyi.

„Chodzi tu pogłoska, pisze korespondent *Gazety Kolońskiej*, że N. Sułtan Turecki głębokiego doznał wzruszenia dowiedziawszy się o teraźniejszych w Irlandyi niepokojach, i o widocznej rządu angielskiego niezdolności do uśmierzenia takowych. Jego Ces. Mość w poczuciu swej godności monarchy europejskiego i połączonej z nią odpowiedzialności, bolesną jest przejęty troską nad stanem Irlandyi, bezprzykładnym w Europie, a którego trwanie dalsze nietylko powadze prawa, lecz i uspołecznieniu europejskiemu w ogóle zagrażać się zdaje. Ambasador więc Jego Ces. Mości przy Dworze W. Brytanii, otrzymać ma polecenie. ażeby najusilniej przedstawił Naj. Pani konieczną potrzebę niezwłocznego przedsięwzięcia właściwych kroków celem w mowie będącem stanowi, jako niedopuszczalnemu na czas dłuższy bez uszczerbku interesów Europy. Jeżeliby zaś przedstawienia ambasadora nie zostały uwzględnione, oddział floty wojennej tureckiej ma się udać do brzegów Irlandyi, by potrzebną tam dla obrony życia i mienia pomoc udzielać".

Powyższe ogłoszenie, przez dowcipnego człeka zmyślone, można teraz napotkać we wszystkich dziennikach angielskich nie sprzyjających polityce p. Gladstona z jej gwałtownem na Turcyą napieraniem, a żart, trzeba przyznać, nie należy do rzędu najgorszych, odbijają się w nim smutne na bratniej wyspie stosunki, i z każdym rzec można dniem przykrzejsze, tak iż można je śmiało do niejednej z dawna osławionej prowincyi Państwa Ottomańskiego przyrównać.

Irlandzcy właściciele ziemscy są w rozpaczy niemal. Najwzględniejsi z nich nawet i najłagodniejsi, co wciąż w majątkach swych przesiadywali, dobrą i złą dolę ze swymi czynszownikami dzielili, nigdy o punktualne uiszczanie czynszów nie nalegali i w każdej porze do zwolnień i ustępstw byli gotowi, bezpiecznymi się nie czują. W tem trwożnem położeniu zebrało się ich i umówiło po cichu stu pięciu, ażeby wice-królowi (jest nim hr. Cowper) i Naczelnemu Sekretarzowi do spraw Irlandyi p. Forster'owi przedstawić wierny obraz kraju, i rządowej w nieznośnem swem położeniu domagać się pomocy. Musieli oni jak wzmiankowaliśmy tajemnie się naradzać, ażeby zamachów na życie swoje nie wywołać, i pierwsza ich prośba do wice-króla była o to, żeby ich nazwiska nie były do wiadomości publicznej podawane, gdyż mogliby się przez to na mściwość Ligi Rolnej wystawić. Ten strach przed wyrokami skrycie wydawanemi i wykonywanemi, jest już sam dostatecznie wymowny dla dania o tem pojęcia, do czego w Irlandyi rzeczy doszły. Nie ma dziś chyba w Europie takiego kraju, gdzieby uczciwi i poważni obywatele, osobiście czując się zagrożonymi,nie śmieli trwogi swojej otwarcie przed władzą wynurzyć.

A cóż ci obywatele Vice-Królowi i Ministrowi powiedzieli? Oto wyrazili jednogłośnie, że jak ich przybyło do Dublina stu pięciu, tak żaden nie ma pewności czy żywy do domu swego powróci. Niektórzy wiedzą o tem że są oddawna przez tajne sądy na śmierć skazani, inni zapewniali, że zachowanie swe przy życiu temu jedynie zawdzięczają, iż bez policyjnej eskorty ani na krok z domu nie wychodzą. O należne sobie czynsze jako właścicielom ziemi dopominać się nie śmią; obowiązków swych jako Sędziów Pokoju spełniać nadal nie są w możności: każdy bowiem ich wyrok, coby się Lidze Rolnej nie podobał, byłby śmierci na nich samych wyrokiem. Czynszownicy uczciwi, mogący i chcący się uiszczać, nie odważają się na to z bojaźni potępienia za odstępstwo braci; jeżeli się zaś odważą, to cichaczem w nocy wkradając się do domu właściciela lub rządzcy i nie biorąc pokwitowania, gdyż obawiają się że mogliby agenci sprzysiężenia napaść na nich w powrotnej drodze, i zrewidowawszy niebezpieczny dokument znaleźć. Rzeczywiście tak jest że czynszownicy porządni i uczciwi, do Ligi nie przyłączający się, są na równi z właścicielami nastraszeni, i życia swojego niepewni. Napadnięci nawet i skrzywdzeni czynnie w domu własnym bronić się nie śmią; bo wiedzą że gdyby w tej obronie który z napastników życie postradał, to członkowie sądu przysięgłych, albo należący do Ligi albo pod jej strachem, uznaliby broniącego się za mordercę;; kiedy prawdziwy morderca w służbie Ligi może być uniewinnienia pewnym. W gorszem jeżeli być może położeniu są oficyaliści sądowi, do których doręczanie wyroków ex-missyi czynszowników należy. Mogą oni powinność taką spełniać jedynie z pomocą eskorty straży policyjnej; a po spełnieniu onej słaniają się i oglądają trwożliwie z przy-

krem uczuciem jakby się czegoś złego dopuścili lub wywołańcami zostali.

Oficyaliści pocztowi i telegraficzni także spokojni nie są; i ich często przejmuje obawa, czy za doręczenie jakiej niemiłej wiadomości prześladowania na siebie nie ściągną.

Z dniem każdym swawola się wzmaga; uczucie bezpieczeństwa znikło, ufność w potęgę prawa upadła, a na prawości sędziów, a zwłaszcza przysięgłych, nikt już oddawna nie polega.

Tak to przemawiali owi stu pięciu właściciele ziemscy przed Vice-Królem, i oświadczyli mu w końcu stanowczo, że urzędować dłużej jako Sędziowie Pokoju, członkowie dozorów parafialnych, rad municypalnych i t. p nie mogą.

Jakaż była na to wszystko odpowiedź Vice-Króla i Naczelnego Sekretarza do spraw Irlandyi? Wyrazili oni, że wystawiony im wizerunek kraju zgodny jest zupełnie z tem, o czem oddawna z doniesień urzędowych wiedzieli; że najszczersze mają dla przerażonych właścicieli ziemskich współczucie, i upewnili ich obaj, że Rząd „jak dotąd" tak i nadal wszystko „co się tylko da" dla bezpieczeństwa ich życia i mienia czynić będzie. Maż to więc znaczyć, że się już nic więcej uczynić nie da? Byłoby to najsmutniejsze ze wszystkich wyznań. Tuszymy sobie że nie tak chyba ich wyrazy tłomaczyć należy, i że zdobędzie się wreszcie niebawem Rząd na środki skuteczniejsze. Jakie środki, to już jego rzecz, on tu jedynie stanowić może. Kiedy więc p. Forster zapytywał bardzo uprzejmie na owem posłuchaniu samych żalących się, coby ich zdaniem zarządzić wypadało, był to zaprawdę arcy dziwny zwrot z jego strony względem ludzi, którzy mu przecież wyraźnie powiedzieli, że czują jakby stryczek na swojej szyi. Bo czyż doradzanie surowych rozporządzeń w wyższym by ich jeszcze stopniu nie narażało. Więc też równie grzecznie od dawania jakich bądź rad wymówili się.

Tak samo i prasa uchyla się od wszelkiego doradzania. Ponieważ na ministrów spadłyby wszystkie zaszczyty uratowania sprawy publicznej, gdyby im się to udało, niech więc sami odpowiadają za wszystko co uczynią i co zaniedbają.

Na zachodzie i południu Irlandyi niebezpieczeństwo rośnie co chwila, i dojdzie do tego że i lepiej myśląca część ludności, straciwszy nadzieję na moc i wymiar sprawiedliwości będzie się musiała do ruchu przyłączyć. Wtedy daleko trudniejsze urośnie zadanie. Dotąd nic więcej rząd nie zrobił prócz pomnożenia straży zbrojnej policyjnej w hrabstwach Majoskiem i Galwajskiem. To bardzo niewiele. P. Gladstone zdaje się zgoła o Irlandyi nie myśleć; tak go zaprząta Czarnogórze, Grecya, Armenia—no i honor Europy. Czyżby nie pilniej było honor Anglii ratować?

Wśród tak smutnych okoliczności ogłoszony świeżo list pasterski księdza Mac Cabe arcybiskupa Dublińskiego może być zbawiennej reakcyi początkiem. Duchowieństwo irlandzkie w agitacyach Ligi Rolnej czynnego udziału wprawdzie nie miało, lecz jako ściśle z najniższemi warstwami ludności rolnej zespolone nie odznaczało się dotąd mocnem przeciwstaniem wielkiemu i popularnemu prądowi, a nie raz bywali proboszcze na wiecach Ligi obecni, starano się tam wydatne dawać im miejsce, i rzadko mieli odwagę protestowania przeciw zdrożnościom mów i okrzyków. Arcybiskup Dubliński pragnie widocznie zachęcić swych podwładnych do czynniejszego przy prawie obstawania. „Obowiązek mój; powiada on, względem Boga i narodu każe mi odezwać się, choćbym miał ua przewrotne słów moich tłomaczenie się narazić. Stanowiło to po wszystkie czasy moc i chlubę Irlandyi, że lud jej i duchowieństwo ramię do ramienia wrogom wiary i wolności opór stawiały; dziwnemby więc było zjawiskiem, gdyby księża z najżywszem zainteresowaniem sprawą się rolną nie zajmowali. Wszystko wskazuje potrzebę rychłej i gruntownej ustroju ziemskiego reformy; wszyscy się na to zgadzają, że spokój i bezpieczeństwo kraju ta tylko zapewni ręka, która istniejące prawa uchyli.

Rząd jest dziś w ręku mężów, którym dobrej woli nie brakuje, odrzucili oni wszelką myśl środków represyjnych. Lecz jakże się im i to szlachetne i niezwykłe umiarkowanie nagradza? Ci co się dobijają o zaszczyt przewodniczenia narodowi. głoszą bezwstydnie, że celem ich jest ubezdolnić naród do konstytucyjnej wolności, przez uniemożliwienie konstytucyjnego rządzenia. Czyż to taka polityka ma do wolności i pomyślności prowadzić? Ciż sami ludzie występują z projektami, na których przyjęcie żaden statysta zgodziéby się nie mógł.

Nieszczęsna Irlandya przelewała w ciągu ostatnich miesięcy krew własnych dzieci, a klątwa krwi przelanej ciąży nietylko na mordercy, lecz i na wszystkich co się od czynu takiego z oburzeniem nie odwracają.

Rozlew krwi nie jest prawidłem wielkich mężów co na wyzwolenie ojczyzny pracowali: O'Connel wyrzekł, iż wolność niewarta jest kropli krwi zbrodniczo przelanej. Oby mądrzy i umiarkowani mężowie wymyślili plan, któryby miał za sobą błogosławieństwo boże i aprobacyą kościoła, ażeby się mogło wielkie dawne ponowić w kraju widowisko—duchownych i świeckich Irlandczyków w zgodnem żądaniu sprawiedliwości zespolonych!"

Widzimy więc z tego listu pasterskiego, że i Arcybiskup reformę stosunków ziemiańskich zaleca.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1-o Listopada 1880 r.

Kilka tygodni oddziela nas jeszcze od karnawału; sądzimy jednak że wzmianka o strojnych sukniach nie będzie przedwczesną, a zwłaszcza że zapusty w tym roku bardzo krótkie. Powracamy zatem raz jeszcze, do wywiezionych ztąd przez panie Kuhnke modelów, na których opisanie brakło nam miejsca w zeszłej korespondencyi.

Zaczynamy od stroju balowego; oto szczegółowy jego opis.

Suknia powłóczysta, z gładkiej materyi *faille*, koloru dojrzałego zboża, u dołu wolant, nad nim bufowana gaza tegoż samego koloru. Dla lepszego odsadzenia sukni pod spodem nagarnirowane rzęsisto trzy falbauki muszlinowe objęte brzegiem koronką. Od samego dołu wygląda z pod sukni wąziuchna falbanka w odcieniu *viel or*. Z przodu na spódniczkę spada fartuszek (tablier) przemarszczony cały, zakończony u dołu koronką w starożytnym guście, i frendzlą z fryzowanego jedwabiu. Tylne bryty fantastycznie podpięte, przybrane również koronką i frendzlami.

Stanik do tego gładki z czworograniastym w koło wykrojem, zasznurowany z tyłu. U gorsu koronka i bukiet z kłosów złotych, pomieszanych z liśćmi szuelowemi, koloru *vielor*, wpięty z prawego boku. Miejsce rękawków zastępuje koronka. Do przybrania głowy, upięcie z odpowiednich kłosów i liści.

Drugie ubranie na wieczór lub obiad proszony.

Suknia z cienkiego kaszmiru indyjskiego w kolorze śmietankowym (crême). U dołu wązkie falbanki atłasowe w tymże kolorze i kaszmirowe plisy. Przód spódniczki lekko namarszczony, przybrany z boku wielkiemi rozetami w kilku odcieniach heliotropowych. Tylne bryty fantastycznie ułożone. Stanik atłasowy koloru heliotropowego, z przodu wycięty podłużnie (*en coeur*) z tyłu ma karoko w kształcie motyla ogarnirowane koronką, przybrane rozetami. Na wierzchu idzie koronkowa chusteczka, spięta bukietem heliotropu. Rękawy długie, tulowe, składają się z trzech bufek, przedzielanych plisą lilla. U ręki rusza koronkowa; takaż sama u szyi.

Trzecia suknia przeznaczona także na obiad, na teatr lub na wieczór, atłasowa czarna, powłóczysta. U dołu dwie plisowane falbany, z pod nich wybiega wąziuchna falbanka z atłasu pąsowego (caroubier). Pod spodem nagarnirowane trzy muszlinowe falbanki dla odsadzenia sukni.

Przód spódnicy lekko namarszczony. przepinany w odstępach galonami i dżetem. Od boków idą bryty podszyte pąsowym atłasem, przewiązane w tyle sukni na węzeł, ozdobiony dżetową pasmanteryą. Stanik wykrojony czworograniasto, z przodu i na plecach, objęty w górze galonem dżetowym. Od wykroju do szyi, wyższa część stanika tworzy karczek, z atłasu gęsto namarszczonego. Rękawy w górze gładkie naszyte galonem, niżej łokcia przymarszczane, u ręki mankiet bardzo oryginalny, rozcięty dziewięć razy, formuje klapki objęte wypustką pąsową. Z każdego rozcięcia wymyka się koronka, suto nagarnirowana, w odcieniu śmietankowem. Kołnierzyk złożony z takichże klapek i koronki, spięty bukietem z pąsowych maków i liści dżetowych, dopełnia pięknego ubrania.

Suknia ta może łatwo stać się balową, jeśli marszczony karczek odjęty będzie od stanika, a długie rękawy zastąpione u ramienia klapeczkami i koronką.

W wielkim magazynie Luwru oglądaliśmy w tych dniach wystawę zimowych okrywek i kapeluszy. W ozdobie tak jednych jak drugich, plusz odgrywa przeważną rolę. Dajemy opis okrywek; które szczególniej zwróciły uwagę naszą. Zaczynamy od strojniejszych.

Paletot aksamitny czarny, do kolan, obłożony futrem bobrowem; rękawy średniej szerokości, przez plecy przechodzi bogata pasmanterya.

Wielka *wizytka* z materyi *gros grin*. W koło frendzla marabutowa ze sznelą. Przez plecy idą trzy rzędy pasmanteryi sięgające poniżej stanu, z pod pasmanteryi spadają długie pukle z szerokiej wstążki czarnej,—u szyi frendzla zastępuje kołnierz.

Okrywka z czarnego jedwabnego *Matlassé*, objęta czarnem futrem; z pod futra wybiega wązka frendzelka z grubych dżetów; przez plecy pasmanterya z dżetem.

Wizytowy płaszczyk z kaszmiru czarnego lekko podwatowany. podbity fularem koloru caroubier. Tylny bryt rozcięty od stanu do samego dołu; z pod rozcięcia widać atłas plisowany w podłużne fałdy. Kapturek z atłasu plisowanego. Przody i rękawy obłożone garnirunkiem z piór strusich w kolorze naturalnym.

Okrywka zwana *Mante parisienne*, czarna kaszmirowa, lekko podwatowana. Jest to długi paletot z szerokiemi rękawami, tylny bryt rozcięty wysoko na łokieć. W koło idzie garnirunek z dosyć szerokiej koronki hiszpańskiej. Kapturek nagarnirowany takąż koronką spada aż do pasa. Kokardy ze wstążki atłasowej, zdobią rękawy, kieszenie i kapturek.

Wizytka z czarnej tkaniny wełnianej, *peau de*

loutre bardzo miękkiej; rękawy szerokie obłożone szeroko pluszem, równie jak dół okrywki.

Żakietka węgierska z sukna ciemno granatowego obłożona pluszem tegoż koloru. Po za tem idzie bogaty szamerunek, guzy i pętlice z pasmanteryi. Rękawy wązkie objęte pluszem; powyżej na nich szamerunek do łokcia.

Wizytka z kaszmiru indyjskiego nie zbyt długa; w koło czarne futerko; po za niem galon dżetowy; przez plecy naszyta podobna pasmanterya.

Wizytka dla młodej osoby z jasno szarego wigoniu, obłożona futerkiem bobrowem. Rękawy szerokie, kapturek podszyty materyą w żywą kratę.

Przejdźmy teraz do kapeluszy zimowych.

Kapotka czarna aksamitna, rondo u niej odwinięte, wyłożone pluszem w pasy, czyli w tak zwane bruzdy (*en sillon*). Nad rondem przechodzi długie pióro strusie. Na głowie upięta draperya z fularu *surrah* koloru *caroubier*, końce od niej związują się pod brodą.

Kapelusz kastorowy szary, przystrojony pluszem koloru wydry (*loutre*); szarfy atłasowe szerokie tegoż koloru.

Kapotka aksamitna czarna, brzegiem naszyta pasmanteryą z różnokolorowych paciorek. Przez główkę przerzucona draperya, z atłasu heliotropowego w dwóch odcieniach. Takież końce służą do wiązania.

Kapotka aksamitna czarna, rondo podniesione, objęte dżetowym galonem. Z wierzchu upięcie z fularu *surrah* w kratę w kolorach złotym i morderowym. Z boku odpowiednia egretka, końce do wiązania czarne atłasowe.

Kapelusiki okrągłe dla młodszych osób, większą jeszcze odznaczają się rozmaitością.

Najstrojniejszy z nich biały kastorowy, ma rondo średniej wielkości podbite aksamitem czarnym. Główka upięta białym fularem surrah, ją otacza białe strusie pióro.

Drugi szary kastorowy: rondko objęte bufką atłasową czarną; z jednej strony spadają pukle z atłasu *caroubier*, z drugiej strusie pióro w kolorze czarnym.

Trzeci kapelusik pluszowy nakrapiany w dwóch kolorach; szarym i ciemno brązowym. Zdobi go draperya ciemna fularowa, i pióro w dwóch odpowiednich odcieniach.

Czwarty pluszowy czarny, odwinięty po bokach, w koło ronda idzie galon dżetowy, z boku wpięty pęczek piór czarnych.

Dodajmy jeszcze słówko o materyach przygotowanych na zimowe suknie. Atłas przeważa nad innemi. Widzimy go w rozmaitych kolorach i odcieniach: rozmarynowym, śliwkowym, heliotropowym, oliwkowym i t. d. jeden zupełnie gładki, drugi broszowany w wielkie bukiety, używany tylko w połączeniu z gładkim atłasem. Do nowości tegorocznych należy także atłas w szkocką kratę, w żywych kolorach na tle ciemnem.

Na kostiumy wizytowe bardzo modny plusz bądź czarny, bądź ciemny, z niezbyt długim lecz gęstym włosem, podobny do aksamitu, ale miększy i znacznie lżejszy.

Kostiumy na ulicę noszą powszechnie z wigoniu, ciemnego, lub z czarnego indyjskiego kaszmiru, te ostatnie przybierają atłasem i pluszem. Do nowych tkanin należy atłas wełniany, gładki lub przerabiany w deseń tego jak tło koloru. Tartan szkocki w kratę bardzo też używany, tak na kostiumy jak na szlafroki ranne, i tak zwane *matinée*, czyli spódniczki z paletotami do domowego ubrania. Widzieliśmy także domowy kostium z tartanu granatowego w delikatną ciemno pąsową kratę. Spódnica miała szeroki wolant plisowany w zakłady; objęty wypustką pąsową atłasową. Paletocik zakończony takimże wolancikiem, spinał się na rząd srebrnych wyrzynanych guzików. Kieszonki i mankiety, przybrane guzikami i kokardami z pąsowej wstążki, ładnie dopełniały ubrania.

Z kraju i z zagranicy.

+ Najnowsze postępy w dziedzinie wojennej aeronautyki.

W tych czasach odbywano we Francyi ciekawe próby fotografowania terrenu z balonu. Balon w którym aparat fotograficzny był przymocowany do boku łódki, został puszczony d. 14-go lipca w Rouen. Pomimo tego że balon wznosił się z szybkością 6—8 metrów na sekundę, udało się jednak na wysokości 1,100 metrów zdjąć bardzo dokładną fotografię wiosek, jako też rozległej okolicy skali 1 : 1,000. Naturalnie, że przedmioty na fotografii są bardzo małe, lecz łatwo temu zaradzić za pomocą szkła powiększającego.

Zdejmowanie fotografii za pomocą balonu na sznurze dawno już nie jest nowością, ale ma tę wadę, że jest robione z niewielkiej wysokości. Transport też balonu na sznurze, oraz zmiana miejsca obserwacyjnego są trudne, a na zakrytem miejscu newet niemożebne.

W Anglii pomimo tego wprowadzano w użycie balon na sznurze, objętości 130 kubicznych metrów, który razem z gazem do napełnienia i innemi przyrządami mieści się na trzech czterokonnych wozach, a w użycie może być wprowadzony we cztery godziny. Taki balon był już użyty przez wojska angielskie podczas manewrów. Jeden z wozów jest tak urządzony, że może utrzymać balon wznoszący się, co prawda tylko do wysokości 80 metrów. Przy pomocy telefonu można prowadzić rozmowę z osobami znajdującemi się na wozie. Pomimo tego wi dzimy że wspomniane wyżej niedogodności w wojennym angielskim balonie nie są usunięte, stosunkowo do wysokości wzlotu koszta przewozu są znaczne.

Nowy francuzki wynalazek ma tę wielką wagę dla wojennej aeronautyki, że balon będący na rekonesansie może przejść prosto przez nieprzyjacielską linię, odfotografować ją z góry nie narażając się na strzały prostopadłe z powodu znacznej wysokości wzlotu.

Trudności rozwiązane szczęśliwie przez Francuza Pawła Desmarets'a, leżały w tem, aby wynaleźć fotograficzny aparat, któryby oddawał wyraźny obraz pomimo wielkiej szybkości wzlotu. Aparat ten posiada przyrząd elektryczny, który zamyka szybko klapę i przedmioty mniej niż w jedną sekundę dostają się na kliszę. Oprócz tego znajduje się przy łódce spadochron, który podczas prób d. 10-go lipca z wysokości 1,000 metrów dosięgnął szczęśliwie ziemi razem z podróżnikiem, spadając ruchem wahadłowym. Jednak główne zadanie kierowania balonem nie jest rozwiązane, chociaż po ostatniej francuzko pruskiej wojnie zajmują się niem wiele we Francyi i w Anglii, chociaż potworzono komisye prób składające się z oficerów i aeronautów. Angielski kapitan Templer, powaga na tem polu, dosięgnął dotąd największych skutków, kiedy projektowane francuzkie zastosowanie skrzydlatych śrub okazało się niepraktycznem.

Templer praktycznie skorzystał z badań w Greenie, że do wysokości 3,000 stóp prądy powietrza trzy razy się zmieniają. Obserwując ściśle prądy, przy pomocy małych baloników, zwanych pilotami, lecących daleko przed nim, wykonał kapitan wyznaczoną mu podróż. Jednakże ten sposób może być użyty tylko od biedy, ponieważ ciągła zmiana wysokości dla fotografa i badacza wojennego jest zawsze niewygodną a podczas wojny nawet niebezpieczną. Spuszczanie się jest też połączone z trudnościami: we Francyi używają za skutkiem oszczepowatych kotwic.

Zebrano też ciekawe postrzeżenia nad miąższością materyi balonowej. Balon z żaglowego płótna objętości 226 kubicznych metrów, traci na tydzień 28 kubicznych metrów.

W Niemczech od czasu nieudolnych prób koło Sstrasburga, już się zupełnie nie zajmują aeronautyką wojenną, a tylko myślą nad machinami niszczącemi balony, jednak to zaniedbanie może być gorzko opłacone w przyszłej wojnie.

W Anglii w ostatnich czasach utworzono osobną broń, kompanię aeronautów, którzy na jednej z parad przedefilowali razem ze swym balonem przymocowanym do wózka!

Korzyści jakie oddały balony Francyi w ostatniej wojnie, zjednały tam sympatyę większą niż w Anglii. Znaną jest szkoła aeronatów w Meudonie.

W kwietniu bieżącego roku przy próbach balon eksplodował i zranił oficera i kilku z załogi; jednak oprócz tego jednego wypadku, nieszczęścia są tam bardzo rzadkie.

Jak w sztuce wojennej przy dzisiejszych udoskonaleniach balon stałby się pożytecznym, możemy wnósić z historyi wojny.

Podczas amerykańskiej wojny secessyjnej balon został o ile wiadomo, pierwszy raz użyty w celach wojennych. Z balonu na sznurze generał Mac-Clellan badał ruchy nieprzyjacioł podczas bitwy pod Richmondem, i był dość długo o nich uwiadamiany. Ważne rekonesanse przy pomocy balonu odbywano już podczas wojny Brazylii z Paraguajem. Na linie 200 metrów długiej ciągnęli żołnierze to wiszące obserwatoryum z jednego końca szańców na drugi. Jak tylko balon się pokazał, starali się Paraguejczycy zakryć swe pozycye dymem.

Podczas ostatniej wojny oblężony Paryż komunikował się ze światem tylko przy pomocy gołębi i balonów, odbywano też ściśle przy ich pomocy rekonesanse na posterunkach niemieckich.

+ Wystawa sześciu solonych głów bandyckich trwała teraz przez trzy dni w Smyrnie. Rzecz się tak miała. W okolicy tego miasta grasowała banda złożona z sześciu rabusiów, która dopuszczała się rozlicznych mordów i rabunków. Gubernator Smyrny, Midhat basza wysłał silny oddział wojska na wytępienie opryszków, których wystrzelano do jednego, głowy im poucinano, nasolono i posłano do Smyrny — na wystawę. Po trzech dniach pochowano te ciekawe okazy.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 23 Октября 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 45 r. 1880.

ZE WSPOMNIEŃ SIEROTY.

PRZEZ

F. MARYAT.

(przekład z angielskiego).

Tom drugi.

I.

Niespodziewane oświadczenie.

Trzy lata upłynęły od chwili w której spotkaliśmy po raz pierwszy doktora Ford, ale łatwo się domyśléć że w tym przeciągu czasu nie zmienił się tak jak Teodora Fleming. Mężczyzna w trzydziestym piątym roku życia jest już, od kilku lat, zupełnie rozwiniętym tak pod względem fizycznym jak i umysłowym; w trzydziestym ósmym znajduje się jeszcze w pełni sił i życia, a jeżeli te trzy lata sprowadziły w nim jakąś zmianę to tylko korzystną. Tak było przynajmniej co do Ulryka Ford, gdyż nietylko że śmierć Cecylji nie zwiększyła boleści dręczącej go odkąd złamała swoje względem niego zobowiązanie, ale przyniosła mu nawet pewną ulgę, wyzwalając od tej przykrej myśli, że kuzynka jego żyje w nędzy, od wszystkich opuszczona.

Zdawało się że życie nabrało dla niego więcej powabu, odkąd, przyjmując pod swą opiekę córkę tej którą tak kochał niegdyś, stworzył sobie nowe zajęcie; wywołało to nawet w jego usposobieniu widoczną zmianę. Wyzwolenie się od jakiegoś cierpienia i nadzieja szczęścia w przyszłości, nie może zmienić nagle człowieka poważnego w bardzo wesołego, zwłaszcza jeżeli sam jeszcze nie spostrzegł że już przestał cierpieć a zaczyna być szczęśliwym, ale to pewna, że jakkolwiek doktór Ford nie zdawał sobie sprawy z tej nowej zmiany w swem życiu przecież więcej było ciepła i zapału w tem co teraz mówił lub czynił. Chód jego był lżejszy i elastyczniejszy, głos dźwięczniejszy niż przedtem, nawet oczy nabrały żywszego blasku, a spojrzenie stało się weselszem niżeli już od lat wielu. Pacyenci podziwiali żywość i wesołość swego doktora, zadając sobie pytania, co mogło sprowadzić tak korzystną zmianę. Niektórzy mówili że zapewnie ma zamiar się ożenić, ale kiedy jedna z pacyentek, śmielsza czy gadatliwsza od innych, odważyła się wspomnieć mu o krążącej po mieście pogłosce o jego ożenieniu, odpowiedział jej „tak gniewnem spojrzeniem“ jak wyraziła się później do jednej ze swych przyjaciółek, że już nikt nie ośmielił się pójść za jej przykładem.

Inni utrzymywali że powodem tego zadowolenia było niezwykłe jego powodzenie i sława którą pozyskał tak prędko, a przyjaciele Forda nie zbijali tego twierdzenia, mówiąc że Ulryk jest ambitnym, i że nie można się dziwić jeżeli to go cieszy że stanął na szczycie drzewa, którego najwyższe gałęzie tylko dla uprzywilejowanych są przystępne.

Rzeczywiście, pod tym względem nie mógł żądać nic więcej, chybaby posady nadwornego lekarza królowej, a jak się zdaje nie tęsknił bynajmniej do tego zaszczytu, nawet można było powiedziéć śmiało że wolał pozostać na stanowisku jakie zajmował w swem rodzinnem mieście, Tak fakultet medyczny jak liczni wielbiciele doktora Ford namawiali go aby się przeniósł do Londynu, gdzie będzie miał szersze pole do rozwinięcia swych zdolności, ale dotąd nie chciał przyjąć żadnego zobowiązania. „Rozpocząłem, mówił, karjerę w Rockborough, w Rockborugh pozyskałem wziętość i sławę, dopóki więc będę potrzebnym memu rodzinnemu miastu, z największą chęcią poświęcać mu będę moje zdolności i naukę.“ Później dodawał: „Gdyby znalazł się ktoś taki co mógłby mnie zastąpić i zadowolnić mych pacyentów, pomyślałbym może o zmianie miejsca pobytu.“ Tak mówił zwykle do przyjaciół, ale jeżeli sam powtórzył to sobie w myśli, dodawał zawsze: „Gdyby *dziecko* nie było już przy mnie!“

To właśnie było rzeczywistą przyczyną że przyjmował tak obojętnie wszelkie propozycye które zmusiłyby go do rozłączenia się z Teodorą lub zabrania jej z sobą do Londynu, co mogłoby stać się szkodliwem dla jej zdrowia i przyszłości.

Szczęście *dziecka* (jak nazywał ją ciągle pomimo że wyrosła na pięć stóp i cztery cale) wpływało więcej na wszystkie jego postanowienia niżby to chciał przyznać nawet samemu sobie, nie przeczył temu że ją kocha, i wzdychał smutnie ile razy pomyślał że będzie zmuszony rozłączyć się z nią kiedyś stanowczo, skoro pójdzie za mąż. Nie mógł nie przyznać badając gruntownie własne serce, że jej zamążpójście sprawiłoby mu dotkliwą boleść, i wytworzyłoby w dalszem jego życiu straszną próżnię, bo wszakże był sam jeden na świecie. Gdyby się był ożenił, jak większa część jego rówienników, teraz już zapewnie pół tuzina córek rozweselałoby jego ognisko domowe, i mógłby miéć nadzieję że któraś z nich nie pójdzie za mąż i będzie pociechą i osłodą jego starości. Ale po co myśléć o tem co już być nie może, po co bawić się próżnemi marzeniami, skoro to nie zmieni rzeczywistości? I zaczynał rachować jak długo jeszcze będzie mógł widzieć obok siebie tę śliczną, pełną życia i wesołości towarzyszkę, jak długo rozweselać będzie dom jego ta którą nazywał *in petto* swą córką? Może cztery lata? lub pięć najwięcej! Ha! mówił do siebie, nie będzie przynajmniej wystawioną na wszelkie niebezpieczeństwa jakiemi zagraża pobyt w stolicy; w Rockborough może być zdrowsza i szczęśliwsza; tu zresztą, ja także będę mógł poświęcić jej więcej czasu, a później, kiedy mnie już opuści i pozostawi samego z siostrą, zgodzę się zapewnie na czynione mi propozycye i przeniosę się do Londynu,

Na tem kończyły się zwykle rozmyślania doktora Ford, gdyż doszedłszy do tej konkluzyi, chwytał zwykle jakąś lekarską książkę lub gazetę, aby zajmując się ważniejszemi kwestyami, usunąć z myśli uroczy obraz Teodory Fleming.

Bo też Teodora miała w sobie rzeczywiście coś uroczego; ci co ją spotykali na ulicy odwracali się aby jej się przypatrzyć lepiej, a twarzyczka jej długo jeszcze potem zostawała w ich pamięci. Ponieważ ona sama, w swym pamiętniku, nie może opisywać swych powabów, ani chwalić się ze swej piękności, jesteśmy zmuszeni wyręczyć ją w tym względzie.

Nadmienimy najprzód że nie zawiodła nadziei jakie budziła w swych dziecinnych latach, że odziedziczyła po rodzicach co było najpiękniejszego w ich rysach, w połączeniu z właściwym do swego usposobienia wyrazem twarzy, zdradzającym dowcip nieco uszczypliwy, ale bez złośliwości, naiwność bez głupowatości i słodycz charakteru wolną

od słabości. Nosek trochę zadarty, piękne usta których kąciki podnosiły się lekko w górę przy pełnym powabu uśmiechu i trochę spiczasta broda, zapowiadały pewną lekkość charakteru, czemu jednak zaprzeczał rozumny i poważny wyraz oczu, posiadających barwę leśnych fiołków, zroszonych poranną rosą, oraz czarne źrenice rozszerzające się przy każdem silniejszem wzruszeniu.

Jest więcej niż średniego wzrostu, ale ma kibić tak proporcyonalną, tak pięknie utoczoną, że wzrost jej wysoki nie razi nikogo. Płeć ma olśniewająco białą, przejrzystą. Włosy, ciemniejsze teraz niż gdyśmy ją po raz pierwszy widzieli; zachowały jednak złotawe odbłyski. Drobniutkie loczki wijące się naturalnie nad czołem, odbijają silnie, lecz wcale nie rażąco od czarnych rzęs i brwi. Pomimo to nie można nazwać Teodory klasyczną pięknością; główny jej powab stanowi ujmujący, pełen uroku wyraz jej twarzy, jest zatem więcej niż piękną, bo jest ponętną. Owa piękna pani która uśmiechnęła się do niej w lustrze, w dniu kiedy kuzyn Ulryk nazwał ją *kobietą*, nie była bynajmniej złudzeniem wywołanem przez jej zarozumiałość; nie, to ona sama, Teodora Fleming, która już w siedemnastym roku była piękną kobietą.

Pierwotne wychowanie przyczyniło się do wzmocnienia jej inteligencyi pomimo że nie starano się rozwijać jej zdolności umysłowych. W czasie swego pobytu w Saltpool, przez to właśnie że ją zaniedbywano, nauczyła się obchodzić bez cudzej opieki, rządzić się własnym rozumem, i wyrabiać w sobie zdanie o wszystkiem co się koło niej działo. Podobne wychowanie uczyniło ją wprawdzie zbyt samowolną i nieuległą ale zarazem wyrobiła w niej charakter pewny i silny, dla tego też skoro nadano jej myślom właściwy kierunek, zaczęła mówić i postępować rozumnie.

Była jeszcze trochę dziecinna w obejściu, ale to właśnie dodawało jej wiele powabu, a zresztą umiała myśleć poważniej, z większem zastanowieniem niż mówiła, i przyswajała sobie chętnie zdania osób starszych i posiadających więcej od niej nauki i doświadczenia. Była wesołą, nawet roztrzepaną, ale nie lekkomyślną i łatwo ją było pobudzić tak do śmiechu jak do płaczu; to jednak najważniejsze że wszystkie jej zdania i zasady były wiernem odbiciem zdań i zasad kuzyna Ulryka. Nie było więc nic w tem w dziwnego że przywiązał się do niej tak silnie, ale temu dziwić się można że nie dostrzegł jak pełne czci przywiązanie ona żywiła dla niego w głębi duszy. Wiedział że ma serce wdzięczne i kochające, ale i to nie uszło jego uwagi że jest coraz skąpszą w zewnętrzne oznaki przywiązania, nie dziwił się jednak temu bo dawniej on jeden tylko był przyjacielem Teodory, teraz zaś kiedy znalazła więcej serc przyjaznych, uczucia podzielone jej musiały stracić na sile. Lecz jakże ogromnie zdziwiłby się doktór Ford, gdyby mu powiedziano że uczucia niemal dziecinne przekształciły się w poważne i głębokie uczucia kobiety, które zamiast objawiać się na zewnątrz kryją się na dnie duszy, i że on, Ulryk był jedynym przedmiotem i celem. Byłby niezawodnie wyśmiał podobne przypuszczenie jako najniedorzeczniejsze i nieprawdopodobne oznajmiłby wprost że za nic w świecie nie uwierzy w podobne baśnie—tak, ale mimo to nie przestałby myśleć o tem.

Jednakże choć już teraz nie ukrywał przed samym sobą; że kocha Dorę głębokiem uczuciem, jednakże nikt nie byłby tego odgadł widząc ich razem. Najpierw doktór Ford nie był jednym z tych ludzi lubiących popisywać się ze swemi uczuciami; i gdyby był został mężem i ojcem byłby najniezawodniej wszelkie dowody przywiązania, zamknął w granicach rodzinnego życia,—a powtóre tak były mu pamiętne niezasłużone przykrości na jakie siostra jego wystawiała Dorę, iż unikał starannie wszystkiego coby mogło wzbudzić w niej zazdrość. Wprawdzie od czasu jak wychowanka jego oddana została na pensyę, zdawało się że nastał rozejm między temi dwoma tak różnemi charakterem osobami; jednakże podczas krótkiego w czasie wakacyi pobytu Dory, zauważył nie jedno spojrzenie, nie jeden przycinek miss Maryanny, dowodzące że ogień tlał pod popiołem. To też i pragnął i obawiał się zarazem powrotu sieroty.

Tak stały rzeczy gdy odebrał ów list od miss Little, o którym wspominała Dora, w skutku czego postanowił niezwłoeznie sprowadzić ją do Rockborough. Prędki zawsze i stanowczy w swoich postanowieniach, nie pytał jak miss Maryanna przyjmie wiadomość tego przyśpieszonego powrotu, jednakże zdziwienie i niezadowolnienie jakie wyczytał w jej oczach gdy ją o tém zawiadomił, dało mu wiele do myślenia przez cały ten wieczór.

Tego dnia właśnie przyjechał do niego Wiliam Bertram. Prosił jednego z kolegów aby go zastąpił w Oxley, a sam zgodnie z zaproszeniem przyjaciela, przybył na parę tygodni do Rockborough Ponieważ gospodarz całe dnie był bardzo zajęty, gość radził sobie jak mógł a w godzinach wieczornych i obiadowych, przychodził zawsze wesoły i uśmiechnięty, z zapasem różnych zabawnych anegdotek; słowem był to gość bardzo pożądany, któremu smutek i zły humor zdawały się być zupełnie nieznane. Jednakże od niejakiegoś czasu zaszła w nim jakaś widoczna zmiana którą Ford zauważył, choć nie umiałby wskazać na czem się zasadzała.

Zdawało mu się iż obecnie pan Bertram wydaje się młodszy i weselszy niż kiedykolwiek—ale z drugiej strony wszak zawsze był dużo mówiący i pozujący na eleganta, stanowiąc pod każdym względem najzupełniejszą sprzeczność ze swoim przyjacielem. Na czemże zasadzało się to coś nie dające się określić a co na doktorze Ford niemiłe robiło wrażenie?—tajemnica ta rozjaśniła się dopiero w dniu gdy zawiadomił pastora o blizkim powrocie Dory. Oto pan Bertram zamyślał puścić się na ponętne ale często burzliwe morze małżeńskich rozkoszy.

Rano dnia tego doktór oznajmił siostrze iż Dora wraca przed końcem roku szkolnego, i powtórzył to jeszcze wieczorem, zawiadamiając przyjaciela. Milczenie obojga przekonało go iż mówili już z sobą o tem; spojrzawszy na nich widział że siostra zdawała się zajmować wyłącznie potrawą którą miała na talerzu, Bertram zaś zaczerwienił się jak młodzieniaszek, i wypił jeden za drugim pare kieliszków wina, dla ukrycia swego pomięszania. Dostrzegł je doktór Ford i dziwnem mu się wydało, ale nie zastanawiał się nad tem.

— Antwerpja leży w nizkiem położeniu, więc pobyt w niej podczas lata może szkodliwie oddziaływać na zdrowie, dodał.

— Jak sądzisz, kiedy miss Fleming przyjedzie? zapytał pastor.

— Zapewnie wkrótce; pakeboty przybywają dwa razy na tydzień, ale nie wiem dobrze w które dnie. Może pozwolisz jeszcze kawałek pieczystego?

Obiad się skończył jak gdyby nic nowego nie zaszło, tylko miss Maryanna miała strasznie nadąsaną minę, a gdy odeszła, zwyczajem angielskim zostawiając panów samych, zdawałoby się że przekazała bratu uporczywe swoje milczenie, gdyż Bertram tylko z największą trudnością mógł wciągnąć go w rozmowę której od niejakiego czasu gorąco pragnął.

— Jakiś nie swój jesteś, Ulryku; czy masz jaki kłopot?

— Nie, ale jestem trochę niespokojny, odrzekł zmuszając się do rozmowy.

— Przecież niepokój ten nie odnosi się do miss Fleming? zapytał żywo pastor.

— O nie! chociaż co prawda stan jej zdrowia nie zupełnie mnie zadawalnia, w ostatnich czasach bardzo wyrosła i skutkiem tego jest osłabiona. Przykro mi że nie znajdzie tu starań ani troskliwej opieki, jakichby teraz właśnie potrzebowała.

— Jakto? a miss Ford?

— Widziałeś jak przyjęła wiadomość o powrocie Dory, z tego wnosić trzeba że pewnie w razie choroby, biedna dziewczyna nie znalazłaby w niej czułej i cierpliwej opiekunki.

— A ja pewny byłem że wzajemna ku sobie niechęć tych pań dawno już nie istnieje. Podczas ostatnich wakacyj miss Fleming wydawała się swobodna i szczęśliwa, a z tego co mówiła o twojej siostrze, wnosiliśmy że żywi dla niej najlepsze uczucia. Bawiąc u nas w Oxley, powiadała że często pomagała jej w różnych robotach dla biednych i towarzyszyła jej w dobroczynnych wycieczkach,

— Tak było rzeczywiście, i przez pare tygodni które Dora spędziła z nami, na pozór przynajmniej, pokój nigdy nie był zakłóconym. Ale też trzeba ci wiedzieć, że to bardzo dobra i bardzo łagodna dziewczyna.

— A któżby tego nie widział! odrzekł z uniesieniem.

— Przyznaję że i siostra moja, ze względu na mnie, starała się panować nad sobą, ale trudno nie przyznać iż jest zawsze nadzwyczaj zazdrośna o Dorę, i na wszystko co ona zrobi lub powie zapatrywać się będzie z najnieprzychylniejszego stanowiska. Wszak nie możesz tego nie wiedzieć, Bertramie. gdyż jako dawny mój przyjaciel, znasz dobrze moje domowe stosunki, jestem niespokojny myśląc jaki teraz będzie wzajemny ich stosunek, gdy Dora stale zamieszka w naszym domu.

— Ależ miss Fleming jest tak szlachetną i odznacza się tak wzniosłym umysłem, iż można być pewnym że nie zakłóci niczem twego domowego spokoju. Gdybyś słyszał z jakiem uniesieniem mówi o tobie, jak umie ocenić wszystko co czynisz dla niej, nie obawiałbyś się że mogłaby żyć w niezgodzie z twoją siostrą,—to niepodobna, zanadto umie być wdzięczną.

— Wiem dobrze wszystko co mógłbyś mi powiedzieć, przerwał Ulryk, nie chcąc aby ktokolwiek, nawet przyjaciel jego, tak rozbierał charakter Dory—wiem to wszystko, ale cała jej dobroć może tylko złagodzić ale nie zmieni położenia. Biedna Dora będzie znosić i cierpiéć w milczeniu, a ja tak pragnąłbym oszczędzić jej cierpienia, gdyż nie ma nikogo prócz mnie coby troszczył się o jej spokój i szczęście. To też takbym chciał żeby Maryanna dała się skłonić do szlachetniejszego postępowania.

— Jestem pewny... i ty powinieneś być o tem przekonany, że my... to jest matka moja z największą radością powitałaby miss Fleming, gdyby chciała zamieszkać u niej w Oxley,—odrzekł pastor bardzo zmięszany i wzruszony.

— Dziękuję ci serdecznie; znam dobroć i serdeczną życzliwość twojej rodziny, ale byłoby to tylko odroczeniem a nie załatwieniem kwestyi. Aż do

pójścia za mąż, dziecko to pozostanie w moim domu, i starać się będę wszelkiemi sposobami aby była szczęśliwą i zadowolnioną.

— Dla czego nazywasz miss Fleming dzieckiem? zapytał nieśmiało Bertram!

— Bo niem jest; nie mogę przecież uważać za kobietę piętnastoletniej dziewczynki.

— Ależ miss Fleming jest daleko starsza; mówiła mi że zaczęła rok siedemnasty, odrzekł Bertram, zaczerwieniony jak wiśnia.

— Doprawdy? rzekł doktór z przesadzoną obojętnością. No, ale nic to nie zmienia stanu rzeczy, gdyż i tak jeszcze zapewnie przez kilka lat przebywać będzie w moim domu.

— Więc nie przypuszczasz że może iść za mąż?

— Wcale o tem nie myślę przed czasem, byłoby to niedorzeczne.

— Jestem jednak pewny że jak wszystkie prawie, młode panny, tak i miss Fleming niezawodnie o tem myśli.

— Być może. gdyż nie jest wyższą nad słabostki nieodłączne niemal od jej płci i wieku, tylko wydaje mi się niemożebnem aby jakiekolwiek marzenia młodych dziewcząt, posiadały siłę przyśpieszania wydarzeń. Nie zapominajmy o tem, Bertramie, że co do Dory istnieją w tym względzie dwie ważne przeszkody: pochodzenie i ubóstwo. Nie wiem czem i jakim był jej ojciec, nie wiem co się z nim stało, czy umarł czy żyje i boję się aby nie pojawił się kiedyś nagle dla zatrucia spokoju tego ktoby pokochał i poślubił jego córkę. A przecież nie mógłbym zataić tego przed kimś coby pragnął ożenić się z Dorą.

— Zdaje mi się że w każdym razie nie są to jeszcze nieprzeparte przeszkody, odrzekł pan Bertram zwracając się ku stołowi. W rzeczywistości ja... przybyłem tu... (mówił z coraz większem wzruszeniem i pomięszaniem) ponieważ.. nie dla zmiany powietrza... ale dla.. krótko mówiąc dla pomówienia z tobą... dla poradzenia się w bardzo zbliżonej okoliczności... eh! lepiej wprost powiedzieć od razu, —w zupełnie takiej sprawie jak ta o której mówiłeś, i...

— Co! o zupełnie takich okolicznościach jak zachodzące między siostrą moją a Dorą? zapytał Ulryk Ford marszcząc brwi.

— Ale nie! nie odnosi się to bynajmniej do twojej siostry — chodzi jedynie o miss Fleming... Mówiłeś o zamążpójściu, otóż, prawdę mówiąc ja teraz właśnie pomyślałem, to jest myślałem od kilku miesięcy że położenie moje... znasz moją plebanię... wszak prawda że nie jest to ani niemiłe ani zbyt niewygodne pomieszkanie?... Wprawdzie dochody moje są niewielkie, ale kiedyś, po śmierci babki, powiększą się trochę... zresztą...

— Masz zamiar się żenić? zapytał Ulryk, który nareszcie zdołał pochwycić sens zagmatwanej plątaniny słów swego przyjaciela. Winszuję ci z całego serca, kochany Bertramie. I kogóż zaszczyciłeś swoim wyborem, jeźli wolno zapytać?

— Właśnie o tej wybranej chciałem pomówić z tobą, odrzekł, bawiąc się swoją zwiniętą serwetą —ale sądziłem że z tego co powiedziałem, łatwo odgadniesz o kogo chodzi. Przyznaję iż masz słuszność mówiąc że jest bardzo młodziutka, i zapewnie wolałbyś żebym się powstrzymał z oświadczeniem, i byłbym też zaczekał jeszcze czas jakiś, gdybyś mi nie wspomniał o przykrościach i nieprzyjemnościach jakich obawiasz się dla niej w domu twoim.. Pomyślałem więc że może przyniosę ci ulgę dając poznać moje zamiary, i proszę cię, kochany przyjacielu, powiedz mi co myślisz o tem, i czy mogę mieć nadzieję że życzenie moje zostanie urzeczywistnione.

Pan Bertram mówił prędko, żywo wzruszony i niespokojny, co mogło dziwnem się wydawać, ze względu na jego wiek: stanowisko i dawną przyjaźń z doktorem Ford. Skończywszy swoje przedstawienie, daremnie czekał odpowiedzi, Ulryk milczał.

— Obawiam się że nie pochwalasz mego zamiaru, rzekł markotnie pastor po chwili milczenia.

— Czy mówiłeś o Teodorze Fleming? zapytał Ulryk przytłumionym głosem.

— A o kimże innym mógłbym mówić!

— I masz zamiar ją zaślubić?

— Proszę cię abyś teraz pozwolił mi starać się o jej rękę, a po pewnym czasie zaślubić. Zwracam się do ciebie jako do jej opiekuna, zapytując czy zezwalasz na to.

— Od jak dawna znamy się z sobą, Bertramie?

— Ach! doprawdy nie przypominam sobie tego dokładnie; zdaje mi się jednak że będzie już coś lat piętnaście czy szesnaście.

— Więc tyle lat ile ich to dziewczę liczy; i czy nie uznajesz że byłby to związek niestosowny i niedobrany pod względem wieku?

— Nie więcej jak największa część zawieranych małżeństw. Wiem że nie jestem młodzieńcem, ale zawsze o cztery lata młodszym od ciebie, a przytem jestem zdrów, czerstwy, podzielam upodobania młodzieży i nie mam żadnych wad podstarzałych kawalerów. Mówią przecież że mężczyzna czterdziestoletni nie jest za starym dla żadnej, choćby najmłodszej kobiety, i przyznam ci się że nie widzę w tem nic nie stosownego jeźli się ożenię z panną siedemnastoletnią, a zaczekam chętnie dopóki miss Fleming nie zacznie ośmnastego roku życia, jeźli taka twoja wola.

Ulryk Ford czuł że pobladł okropnie i chcąc to ukryć przysunął się do kominka, poczem rzekł po chwili milczenia:

— Chcesz więc zalecać się do tego dziecka jak tylko powróci z pensyi — może nawet nie czekałeś i na to?

Bertram uśmiechnął się zadowolniony z siebie

— Dozwoliłem miss Fleming domyśleć się jak bardzo ją uwielbiam i o ile mogę wnosić nie odpycha uczuć moich—ale, naturalnie nie chciałem korzystać z tych moich spostrzeżeń bez twego zezwolenia. Zastąpiłeś jej miejsce ojca, Ulryku, powinniśmy więc uszanować twoją despotyczną, nieograniczona władzę.

Ostatnie słowa wypowiedział z tak lekkomyślną i uradowaną zarozumiałością, że Ford boleśnie uczuł się dotkniętym.

— A potem, jak skoro tylko obawiasz się nieporozumień między siostrą twoją i miss Fleming, myślałem więc, mówił dalej Bertram, że rad będziesz dowiedziéć się iż wychowanka twoja może mieć dom własny jak tylko zechce. Nareszcie rozważywszy jak dawno się znamy i od ilu to już lat jesteśmy złączeni węzłem najściślejszej przyjaźni, wywnioskowałem sobie że będziesz wolał raczej mnie niż komuś obcemu powierzyć szczęście swej wychowanki.

Od kilku już minut, Ulryk Ford uczuwał nieprzepartą chęć pochwycić za gardło i zdusić bez wyroku swego przyjaciela; pomiarkował się jednak prędko i po ostatnich słowach Bertrama, zbliżył się do niego podając mu rękę.

— Masz słuszność, kochany przyjacielu; przebacz że zaskoczony niespodzianie nie odpowiedziałem jak należy na twoje wyznanie. Jestem jeszcze tak odurzony, iż nie mogę zmiarkować jaki rzeczywiście zachodzi stosunek między tobą a miss Fleming. Czy zna uczucia i zamiary twoje?

— Nie mogę tak stanowczo odpowiedzieć na to pytanie, ale bardzo być może, iż je odgadła, bo dziewczęta mają szatański spryt... chciałem powiedzieć iż w takich razach są nadzwyczaj przebiegłe.. Mogę tylko zapewnić że nigdy nie wyznałem jej mojej miłości.

— I proszę cię chciej jeszcze czas jakiś wstrzymać się z tem wyznaniem; Dora jest jeszcze za młodą aby mogła myśléć o rzeczach tak ważnych i nie umiałaby zastanowić się poważnie nad rzeczą tak ważną.

— Ale mogę przecież bywać tu? zapytał zasmucony Bertram; pomyśl tylko, Ulryku, że nie mam czasu do stracenia.

— Masz słuszność, odrzekł doktór, którego twarz przybrała wyraz zgnębienia i znużenia, i bądź też pewnym że zawsze będziesz dla mnie miłym i pożądanym gościem, — ale proszę nie mówmy już dziś o tem. Oświadczenie twoje zaskoczyło mnie tak niespodziewanie, iż wydaje mi się tak przedwczesnem, że nie jestem w stanie tak zaraz dostatecznie zastanowić się nad niem. Zostaw mi czas do oswojenia się z tą myślą, a będę się starał rozważyć wszystko i dam ci poznać moje zdanie.

— Miss Ford daleko goręcej niż ty popiera moje zamiary, zawołał nierozważnie Bertram. była pewną że zgodzisz się chętnie na to, i zachęciła mnie abym niezwłocznie rozmówił się z tobą.

— A! więc dałeś już poznać swoje zamiary mojej siostrze? rzekł zimno doktór; bardzo mi to przykro, wolałbym żebyś najpierw do mnie się zwrócił.

Po tych słowach nastało głuche, kilka minut trwające milczenie, w ciągu którego doktór Ford stał przed kominkiem nieruchomy jak posąg, a William Bertram siedząc przy stole ustawiał na swoim talerzu piramidy z cukru; z takiem przejęciem i uwagą jakby los jego i szczęście całego życia zależało od tych maleńkich gmachów.

— Spodziewam się, rzekł nareszcie Ulryk Ford; że nie poczytasz mi tego za niegościnność, iż nie proszę cię abyś nie przedłużał twych odwiedzin aż do przybycia mojej wychowanicy; z wielu powodów lepiej będzie jeźli cię tu nie zastanie. Gdy już osiedli się u mnie i wyleczę ją z przejściowego zapewnie osłabienia, wtedy będziesz mógł starać się o pozyskanie jej serca. Przez ten czas możesz być zupełnie spokojnym—nikt nie uprzedzi cię w zalotach do takiego dziecka jak ta pensyonarka—a wyraz *dziecka* wymówiony był z takim przyciskiem, iż musiał boleśnie zadrasnąć uszy Bertrama.

— Miss Fleming nie jest wcale takiem dzieckiem jak ci się zdaje, odparł Bertram tonem tak stanowczym, iż twierdzenie to tak sprzeczne z powiedzeniem doktora, musiało z kolei bardzo mu być niemiłem.

Po tych ostatnich słowach nastało długie i kłopotliwe milczenie; nareszcie Ulryk Ford wyszeptał akieś niezrozumiałe tłomaczenie i wyszedł z pokoju a niebawem i z domu. Tego wieczoru nie potrzebował wychodzić, ale nie był w stanie patrzéć dłużej na człowieka który chciał zabrać mu *jego dziecko*, nie mógł mówić z nim i powstrzymać się od wypowiedzenia mu co myślał o jego oświadczeniu.

Dora!... dziewczątko, dziecko... miałaby pójść za człowieka mającego więcej jak dwa razy tyle lat co

ona, którego pojęcia, uczucia, nawyknienia wyrobiły się zanim ona przyszła na świat.. Ależ to rzecz niesłychana, szalona, niedorzeczna!... Nic podobnego nie mogło powstać w myśli tej *dzieciny*, był przekonany że ona nawet nigdy jeszcze nie pomyślała o swojem zamążpójściu... Jednakże teraz przypomniał sobie że podczas ostatnich wakacyj była jakaś inna jak dawniej: mniej daleko mówiła o swoich naukach i zajęciach na pensyi; była ciągle jakby wzruszona i nieśmiała, szczególniej jeźli sami byli w pokoju,—a wreszcie zauważył że często promieniejącą jej twarzyczkę zasępiała chmurka smutku, którego powodu odgadnąć nie mógł. Byćże może aby to były symptomata kiełkującej w jej sercu miłości dla Williama Bertram, miłości o której sama może nie wiedziała jeszcze, ale której brakło tylko słońca aby się w bujny kwiat rozwinęła? Czyż przyjaciel jego jest tak zachwycającym i niebezpiecznym dla kobiet, że nawet to niewinne szesnastolenie dziewczę; nie mogło oprzéć się jego urokowi? Doktór Ford pamiętał dobrze, iż gdy byli razem w Uniwersytecie, przyjaciel jego został przezwany *pięknym Bertramem*, dla odróżnienia od innego kolegi tegoż nazwiska — i pomyślał sobie że zapewnie Dora podzielała to ogólne zdanie.

Lecz jeźli *dziewczynka* kochała rzeczywiście tego pięknego adonisa, cóż on, Ulryk Ford, poradzi na to? jakie może stawić przeszkody przeciw temu małżeństwu? Niestosowność wieku — ależ nie jest to przeszkoda nieprzeparta, bo ileż to zawiera się małżeństw w których różnica wieku daleko więcej jest rażąca... zaś pod względem urodzenia, wychowania stanowiska, charakteru i majątku, Bertram był, jak to mówią, wcale dobrą partyą, choć czasami narzekał na niedostateczne dochody. Tak więc nie było żadnego słusznego powodu odmówienia przyjacielowi ręki wychowanicy; jeźli ona zechce pójść za niego, bo nie mógł przecie usprawiedliwić odmowy samolubną żądzą zatrzymania jej w swoim domu. Wprawdzie Dora była jeszcze bardzo młoda, ale ileż to panien wychodzi za mąż w jej wieku—a potem jeźlić już musiał się z nią rozstać, w takim razie czem prędzej tem lepiej, bo im krócej zabawi w jego domu, tem mniejszą odjazd jej pozostawi w nim próżnię.

Biedny Ford rozumował i powtarzał sobie to wszystko, mimo to nie mógł wymyśléć sobie dość zadawalniającego tłomaczenia. Chodził szybkim krokiem po oddalonych, samotnych ulicach, i nareszcie wrócił do domu równie znękany sprzecznemi myślami ścierającemi się w jego umyśle jak pierwej ową rozmową z dawnym przyjacielem. Doszedłszy do domu, przechodząc koło okien sali jadalnej, usłyszał szmer dwóch rozmawiających głosów—to zapewnie siostra jego rozmawia z panem Bertramem, a dźwięki ich głosu, unosząc się po nad wonnemi kwiatami stojącemi na oknie, dochodzą aż na ulicę. Pewnie naradzają się nad tą ważną sprawą, a miss Maryanna zachęca i pociesza strapionego wielbiciela.

Ulryk nie czuł się usposobionym do próżnej, obojętnej rozmowy — tem mniej mógłby teraz mówić swobodnie o tem co mu tak ciężało na sercu, więc nie zatrzymując się i nie oglądając przeszedł do swej ubieralni. Jeźli; jak to mówią, mieszkanie zdradza charakter właściciela, to pokój ten świadczył o prostocie i małych wymaganiach doktora Ford — i tak też było rzeczywiście. Inne pokoje urządzone były z przepychem i zbytkiem, zaś w tym gabinecie nie znajdowało się nic nad to co było niezbędnem. Posadzka nie była zasłana kobiercem; w rogu stała wielka ale nader skromna wanna; toaleta niczem nie była przykryta, na ścianach żadnych ozdób. Wszystko tu kazało wnosić że właściciel tego pokoju, bogatszy jest w myśli niż w wyobraźnię, że więcej działał niż czuł—a przecież gdyby w tej chwili można było zajrzéć w głąb jego serca, możnaby się zaraz przekonać że uczucia nie były dlań obce, że wiedział co to jest cierpienie i niepokój.

— I komuż więc chciałbym ją oddać? myślał wchodząc do tego pokoju i rzucając się na krzesło stojące przed toaletą — za odpowiedź posłużyła mu twarz którą w tej chwili zobaczył w zwierciadle.— O nie! nie! niepodobna bym kiedykolwiek pomyślał o tem, rzekł sobie drżąc i jakby rzucając wyzwanie —nie, to niepodobna! stałbym się pośmiewiskiem ogółu i zasłużyłbym na to.

Takie myśli cisnęły mu się do głowy, podczas gdy wpatrywał się w twarz swoją odbitą w zwierciadle. A jednak twarz ta nie była wcale szpetną lub niemiłą, ale tylko poważną i smutną a w tej chwili nawet chmurna lecz zdradzała zarazem wielką moc charakteru i potęgę umysłu. Obok tego można było wyczytać w niej słodycz i dobroć, słowem była to jedna z tych twarzy które podobają się kobietom ale zarazem budzą obawę. Ale posiadacz tej twarzy ani przypuszczał że ma ona w sobie tyle uroku, widział w niej tylko czarny smutek. W jego oczach ta twarz człowieka będącego więcej jak w dojrzałym wieku, na którą patrząc marszczył brwi, była raczej odpychającą niż pociągającą, i nie mogła miéć nic wspólnego z miłością i małżeństwem, ani pragnąc odegrać jakąś rolę co do przyszłości Teodory Fleming. Jak tylko ta ostatnia myśl powstała w jego umyśle, zerwał się prędko i postanowił iść do swego gościa.

— Co za szatan mnie opętał! zawołał; mary jakieś snują mi się po głowie... Czy oszalałem już z nawału pracy i znużenia lub czy się na to zanosi?... A! i przeszło przez trzy kwandranse zostawiłem Bertrama sam na sam z moją siostrą — trzeba pośpieszyć do nich, gdyż mogłoby to zagrażać w przyszłości spokojowi Teodory!...

I śmiejąc się z tej myśli żeby miss Maryanna ze swemi czerwonemi oczami i zwiędłą twarzą, mogła zaćmić kiedyś uderzającą piękność jego przybranej córki, zeszedł prędko do sali jadalnej.

II.

Dalszy ciąg pamiętnika Teodory.

Zdaje mi się że musiałam być rzeczywiście chora kiedy przyjechałam do Rockborough, przynajmniej to pewne że znajdowałam się w bardzo smutnem usposobieniu. Podróż była dla mnie nader przykrą i utrudzającą, i, czego dotąd nie doświadczałam, choroba morska bardzo mi dokuczyła. Co więcej, fraülein Graub, towarzysząca mi w podróży, tak potrafiła mnie rozdrażnić i zmęczyć ciągłą obawą abyśmy się nie spóźniły na stacyę, żaby nam nie kazano zbyt drogo zapłacić za najęcie fiakra, że dojeżdżając do Rockborough byłam już zupełnie bezsilna.

Przypominam sobie doskonale w jakim stanie otrętwienia znajdowałam się gdyśmy stanęły przed domem mego kuzyna; jak obojętnie czekałam w powozie aby nam drzwi otworzono. Było to po południu, w gorący dzień czerwcowy, siedząc w głębi powozu patrzyłam na uchylone okna, przysłonięte koronkowemi firankami, i przyozdobione żardinierkami z białej i błękitnej porcelany, w których stały doniczki z rezedą i z czarnemi goździkami; patrzyłam na nie jak gdyby to był dom zupełnie dla mnie obcy, a nie dom do którego zawsze wracałam z taką radością. Kiedy Wheler ukazał się na progu aby mnie powitać i wysadzić z powozu (bo ten poczciwy stary sługa był do mnie bardzo przywiązany pomimo mego roztrzepania) wysiadłam wolno z powozu, zamiast wyskoczyć i wbiedz na schodki przeskakując wszystkie stopnie razem jak to dawniej czyniłam. Nie miałam nawet siły odpowiedzieć na powitalny uśmiech i pełen uszanowania ukłon Wheler'a, i weszłam chwiejnym krokiem do sali jadalnej, powstrzymując się z trudnością od płaczu.

Kuzynka Maryanna oczekiwała już tam na mnie; powitanie nasze było więcej wymuszone niż szczere co jednak nie dziwiło mnie wcale. Upadłam na najbliżej stojący fotel, i patrzyłam przed siebie bezmyślnie, nie wiedząc co mam czynić lub mówić.

Fraülein Graub weszła za mną i stanęła na środku pokoju widocznie tem zakłopotana że się znajduję w obecności angielskiej damy, i usiłowała za pomocą kilkunastu wyrazów angielskich które umiała, zdać jej sprawę z naszej podróży.

Kuzynka Maryanna patrzyła uważnie na biedną niemkę, a pomimo to nie mogła rozumiéć ani słowa z tej anglo-germańskiej przemowy, co jednak nie przeszkadzało aby jej słuchała z największą grzecznością. Musiałam w końcu przyjść na pomoc mojej towarzyszce podróży i kuzynce Maryannie, i służyć im za tłómacza.

Zdawało się że fraülein Graub nigdy chyba nie odjedzie, bo miss Ford znająca przepisy gościnności nie chciała jej puścić dopóki się czemś nie posili. Piła więc wolniutko wino, a wolniej jeszcze jadła biszkopty, przeplatając to zatrudnienie mieszaną i niezrozumiałą rozmową, słowem mówiła, piła i jadła z takiem upodobaniem, że w końcu nabrałam przekonania że noc nadejdzie zanim ona przestanie się posilać.

Nakoniec nadchodzący zmrok przypomniał jej że czas odjechać, i po licznych podziękowaniach, komplimentach i ukłonach zwróconych do miss Ford i pożegnaniu mnie uściśnieniem ręki, wsiadła do czekającego na nią ciągle fiakra, i odjechała do stacyi kolei żelaznej. Upadłam ze znużenia i sądziłam że kuzynka Maryanna będzie się litować nademną, ale przekonałam się wkrótce że postanowiła nie widziéć tego że jestem słabą.

— Dalej, Teodoro, zawołała żywo, zaledwie fraülein odjechała; najlepiej będzie jeżeli pójdziesz zaraz do twego pokoju, i każesz przy sobie rozpakować rzeczy. Będziesz teraz zajmować pokój błękitny, a Joasia, druga pokojówka, będzie ci usługiwać. Obiad podadzą dopiero za dwie godziny, i szkoda stracić napróżno tyle czasu.

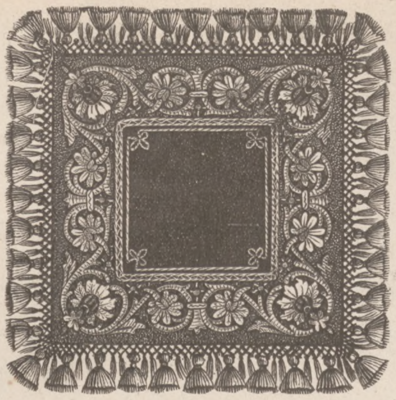
— Jestem bardzo osłabiona, odpowiedziałam podnosząc się wolno.

— Nie ma w tem nic dziwnego, taki upał dokuczy każdemu, ja także czuję się znużoną, ale przy dobrej chęci można to przezwyciężyć. Zresztą wiesz o tem że kuzyn twój nie lubi aby ktoś siedział bezczynnie.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 45.

(Ciąg dalszy).



N. 1. Patarafka pod lampę ozdobiona haftem hiszpańskim. Patrz deseń haftu rycina 32.



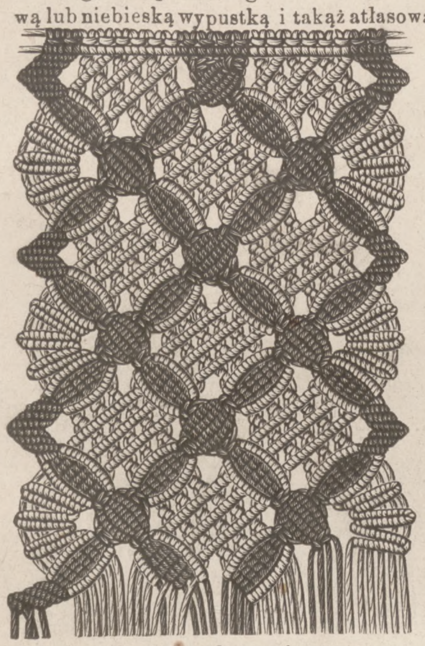
N. 3. Część szlaku aksamitnego do serwety ryc. 32.



N. 2. Patarafka pod lampę. Deseń na dodatku Nr 3.

N. 18. Paletocik z kapturkiem dla dziecka lat 2—4. Krój na arkuszu Nr III, Fig. 15 — 21.

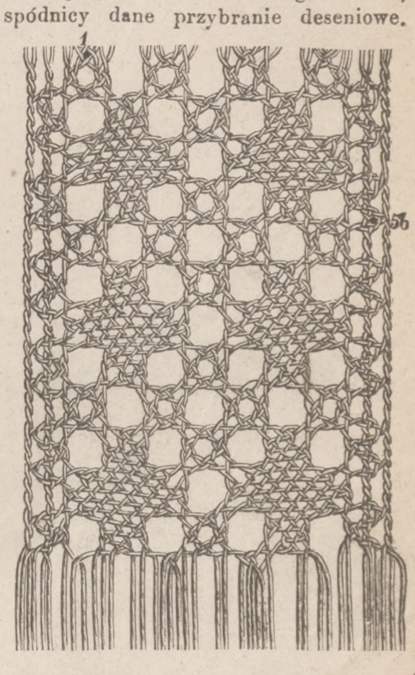
Najstrojniejszy taki paletocik może być z ciemnego pluszu na jedwabnej podszewce, bardzo ładnie również wyglądać będzie z białego lub piaskowego wełnianego materyału, z ponsową lub niebieską wypustką i takąż atłasową podszewką w kapturku. Guziki piękne metalowe lub z konchy perłowej. Fig. 15 — 21 dają formę paletocika; materyał wystający przy boczkach i plecach założony jest w fałdę, zastębnowaną wzdłuż i tylko na 6 cent. od dołu luźno puszczoną.



N. 4. Torsada robotą wiązaną macramé.



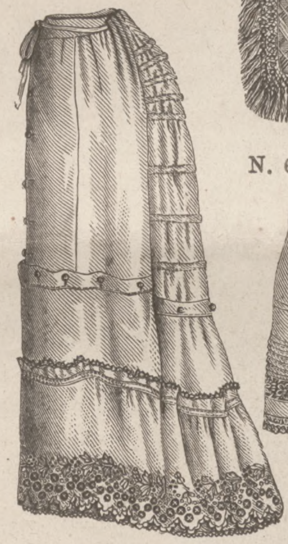
N. 6. Lewa strona okrycia z chustki ryc. 20.



N. 5. Wszywka niciana ręczna. Napięcie deseniu na arkuszu Fig. 42.

N. 19. Płaszczyk długi.

Odrobienie jakie przedstawia ryc. 19 z drobnem przemarszczeniem danem długo od ramion i z rękawami zmarszczonemi u ręki nadaje się tylko do płaszczyków jedwabnych, sicilienne lub t. p. na kolorowej pluszowej podszewce, zarazem wytwornej i ciepłej. Kokardy ze wstążki repsowej dodane podług ryc. 19.



N. 7. Spódnica z turniurą i przypinaną falbaną ryc. 8.



N. 8. Falbana przypinana do spódnicy rycina 7.



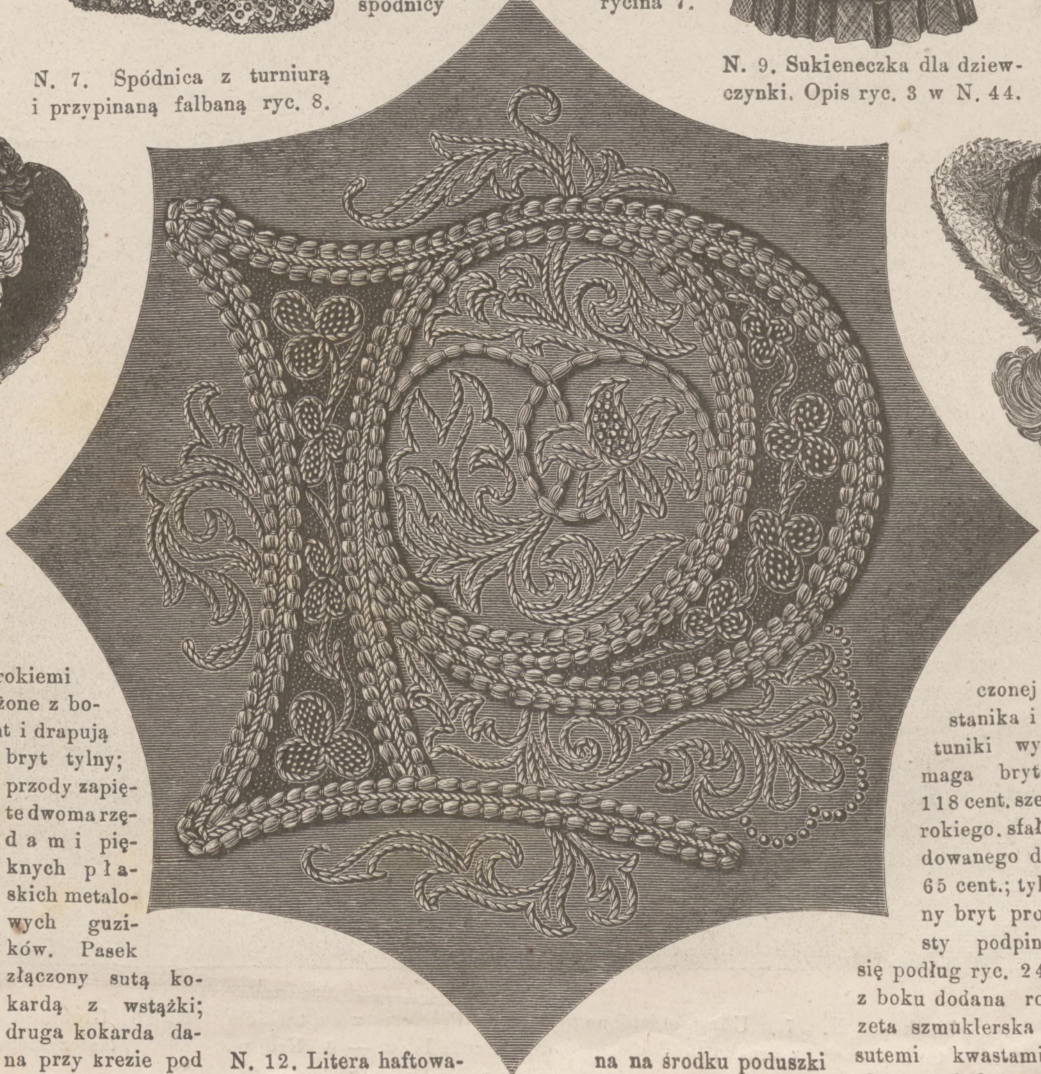
N. 9. Sukieneczka dla dziewczynki. Opis ryc. 3 w N. 44.

N. 22. Suknia z długiem vetement z podwójną pelerynką.

Rycina 22 przedstawia modne ubranie spacerowe, z materjału w drobną kratkę, złożone ze spódnicy zakończonej szerokiem plisowaniem i z długiego, gładko spadającego vetement prostą formę princesse z szerokiemi kontrafałdami wzdłuż przodów. Założone z boków głębokie fałdy podpinają vetement i drapują bryt tylny; przody zapięte dwoma rzędami pięknych płaskich metalowych guzików. Pasek złączony sutą kokardą z wstążki; druga kokarda dana przy krezie pod szyją. Podwójną pelerynkę zakończoną przy brzegach wypustką, dopasować można podług kroju z dawniejszych tegorocznych N-rów.



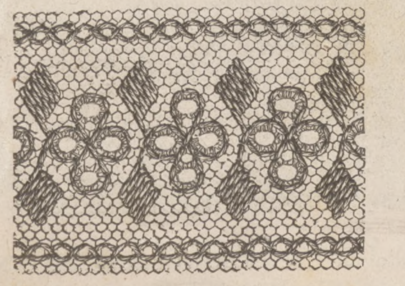
N. 10. Kapelusz aksamitny z fałdowaną główką.



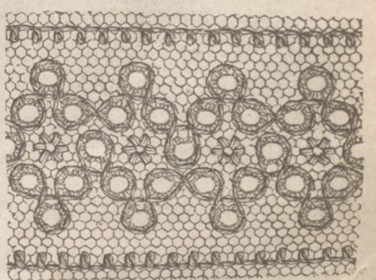
N. 12. Litera haftowana do kanapy. Patrz rycina na środku poduszki na 23 w N-rze 44.



N. 11. Kapelusz okrągły filcowy ryc. 35 w N. 44.



N. 13. Wszywka wywodzona na tiulu.



N. 14. Wszywka wywodzona na tiulu.

N. 23. Suknia ze stanikiem z baskiną.

Odrobiona jest z ciemnego czerwonawo bronzowego kaszmiru takiegoż aksamitu i ciemnego deseniowego wełnianego materyału. Aksamit użyty tylko do przybrania deseniowego stanika, na gładkiej zaś spódnicy dane przybranie deseniowe. Przód i boki sukni przysłonięte są w części rzędami plisowania, zachodzącego na siebie podług r. 23; tylko rząd najniższy idzie na około. Na krótką przednią draperyę bierze się bryt poprzecznie i kilkakrotnie przemarszcza z boków; do tego bryta przyszyty jest odwracanym szwem wykład z podwójnie wziętego materyału, z jednego brzegu 43 cent. długi, przytrzymany wielkiemi ażurowemi, stalowemi guziczkami, przy których naśladowane jest obrobienie dziurek; z drugiej strony ścięty jest skośnie i zwężony do 2 cent. Na upięcie tylne potrzeba prostego gładkiego i deseniowego bryta, które przerzucają się fantazyjnie. Frakowa baskina przy plecach ozdobiona jest aksamitnemi częściami, liczącemi w kwadrat po 22 cent. złączonemi atłasową kokardą.

N. 24. Suknia z paletocikowym stanikiem. Patrz Fig. 40.

Rycina 24 przedstawia plecy a Fig. 40 na arkuszu dodatkowym przód ubrania złożonego z gładkiej spódnicy, zakończonej 50 cent. szerokiem plisowaniem i ze stanika i tuniki w wielką skośną kratę. Przód tuniki wymaga bryta 118 cent. szerokiego, sfałdowanego do 65 cent.; tylny bryt prosty podpina się podług ryc. 24; z boku dodana rozeta szmuklerska z sutemi kwastami, ułożona z kolorowe-



N. 15. Okrycie jesienne.

N. 16. Suknia z bluzkowym stanikiem i tuniką podpiętą z boku.

N. 17. Ubranie żałobne z krótką tuniką.

N. 18. Paletocik z kapturkiem dla dziecka lat 2 — 4. Krój na arkuszu Nr III, Fig. 15 — 21.

N. 19. Ubranie z długim płaszczykiem.

N. 20. Okrycie z chustki włóczkowej. Patrz ryc. 6.

N. 21. Suknia z przypinanym trenem. Patrz ryc. 20 i 45 w N-rze 44.

N. 22. Suknia z długiem vetement z podwójną pelerynką.

N. 23. Suknia ze stanikiem z baskiną.

N. 24. Suknia z paletocikowym stanikiem. Patrz Fig. 40 na arkuszu.

N. 25. Płaszczyk strojny zimowy formą dolmanową.

N. 26. Suknia z trykotowym stanikiem. Patrz ryc. 36 i 46 w N-rze 44. Krój na arkuszu Nr IV, Fig. 22—28.

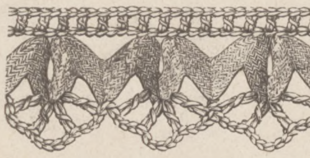
go jedwabnego sznura. Stanik paletocikowy zakończony w około szerokiem obłożeniem, ma po nad niem przody i plecy ścięte w ząb nakształt bawetu. Ładny kapturek z atłasową podszewką wszyty jest w wykrój szyi wraz z wykładanym kołnierzem, lub przypinany na haftki. Na Fig. 40 widzimy takież ubranie z gładkiego materyału.



N. 27. Szlak do serwet, na meble i t. p. Deseń na ark. Fig. 1.

N. 25. Płaszczyk strojny zimowy formą dolmanową.

Płaszczyk z ciemnobronzowego wełnianego materyału i przybrany szeroką plisą pluszową i szmuklerskim sznurem z perełkami. Wzdłuż przodów obłożenie pluszowe dane na 98 cent. długości od ramion i zakończone pasmanteryą z frendzlą; na plecach wcinanych dane oryginalne przybranie, naśladujące długi kapturek, otoczony sznurem z ciężkiemi kwastami.



N. 28. Ząbki z tasiemeczki obrobione szydełkiem.



N. 35. Kołderka dla dziecka. Patrz ryc. 36—38.

N. 30. Litera haftowana kolorową bawełną.

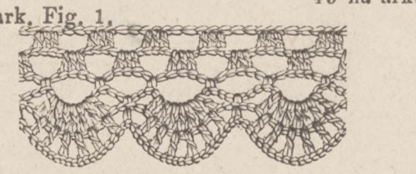
N. 26 tudzież rycina 22, 36 i 46 w N-rze 44. Stanik trykotowy „Jersey" albo „Surcot Veronese." Krój podszewki i deseń wyszycia na arkuszu Nr IV, Fig. 22—28.

Staniki trykotowe z szwu jaki jeden z nich widzimy na ryc. 46 w N-rze 44, noszne na dobrze leżącej dopasowanej podszewce, jakkolwiek leżą bardzo dobrze, ale są niewygodne do kładzenia; obecnie więc szyją je z materyału trykotowego, jaki fabrycznie wyrabiany jest we wszystkich kolorach, dodając mocną podszewkę. Fig 22—27 daje krój podszewki, który może służyć do każdego stanika. Materyał trykotowy na przody i każdą połowę pleców wzięty jest w jednym kawałku i zszyty z boków pod pachą o ile możności najniewidoczniej, na ramionach zaś wpuszczony między podszewkę. Na szwach łączących podszewkę i wzdłuż brzegów tylnych dane są fiszbiny cienkie i miękkie, u dołu zaś od zęba bawetu do pleców zaobrąbione są cieniutkie fiszbiny. Do zapięcia służą dwa rzędy małych płaskich guzicz-

ków atłasowych, przyszytych na oddzielnej listewce i podkladanych przy zapięciu. Deseń haftu gładkim i kręconym bajorkiem złotym, do przyozdobienia kołnierzyka i wykładów na rękawach załącza ryc. 22 w N-rze 44 i Fig. 28.

N. 28. Szlak do portjer, serwet, na meble i t. p. Deseń patrz Nr I i Fig. 45 na arkuszu. Haft ściegiem luźnym i wyszycie sznureczkiem.

Na tło użyty aksamit czarny, do wyszycia sznureczek jedwabny i filozela w dwóch cieniach. Kontury deseniu odznaczone są kręconym sznureczkiem przyszytym jedwabiem; środki zapełnione ściegiem luźnym i filozelą fryzowaną, przytwierdzoną poprzecznemi ściegami; zresztą dokładność deseniu ułatwia wykonanie.



N. 29. Ząbki szydełkowe.



N. 31. Litera haftowana kilkoma cieniami.

N. 30 — 31. Litery do znaczenia bielizny.

Efektowne te litery, odrobione są ściegiem dzierganym i łańcuszkowym lub sznureczkowym, bawełna od haftu Nr 60 w 2-ch lub trzech cieniach jednego koloru jak na ryc. 31, lub dwoma kolorami jak na ryc. 30. Odpowiednie są do znaczenia bielizny stołowej lub chusteczek z kolorowemi szlaczkami.

N. 33. Przycisk.

Rycina 33 przedstawia przycisk z tafelki kryształowej w który zamiast malowania lub fotografii wsunięte są zasuszone kwiatki naklejone na tle aksamitnem, stanowiące miłą pamiątkę z odbytej podróży lub t. p.

N. 34. Przyrząd do wysuszania atramentu. Deseń na arkuszu Fig. 44.

Przyrząd ten z wierzchu ma płytę żelazną ozdobioną deseniem wypalanym wodą gryzącą.

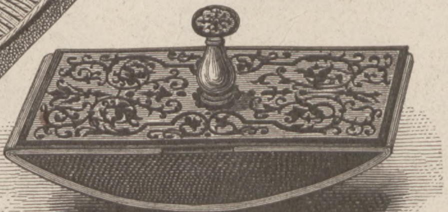
(*d. n.*)



N. 32. Deseń do ryciny 1.



N. 33. Przycisk kryształowy.



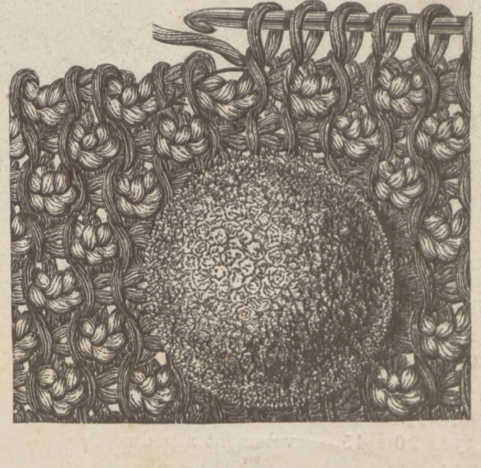
N. 34. Pismosuszka.



N. 36. Ścieg tunetański na kołdry lub t. p.



N. 38. Szlak robiony na drutach, do ryc. 35.



N. 37. Robota tła tunetańskiego ozdobionego kulkami, do ryc. 35.

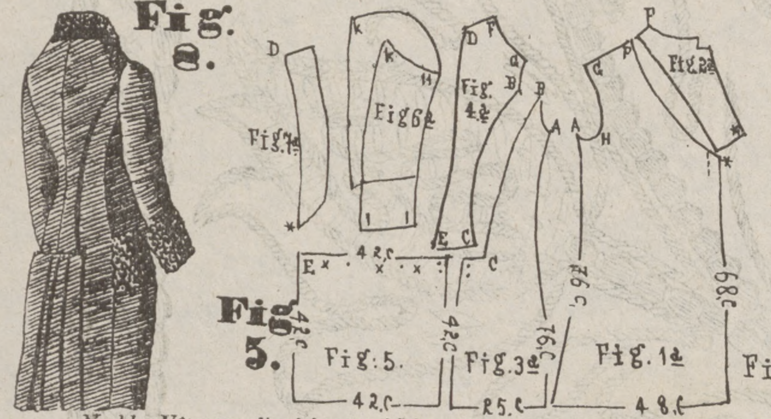
TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1880 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 44 i 45.

N. I. Paletot półwcięty. Rycina 37 w N-rze 44.

Fig. 1. Przód (A, F, G, H, *) —• • —
Fig. 2. Kamizelka (F, *) + + + + +
Fig. 3. Boczek A, B, C, :) —— ——
Fig. 4. Połowa pleców (B, C, D, E, F, G) ═ × ═ ×
Fig. 5. Wskazanie kroju połowy baskiny (E, :)
Fig. 6. Rękaw (H, I, K, L)
Fig. 7. Kołnierz szalowy (D, *) — * — * —
Fig. 8. Plecy paletota.
Fig. 1a—7a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 1—7.



N. II. Vêtement dla dziewczynki lat 6—8. Rycina 8 w N-rze 44 i rycina 9 w N rze 45.

Fig. 9. Przód (M, U, V, W, •, +, :)
Fig. 10. Boczek (M, N, O, P, Q, R × 1) — o — o —
Fig. 11. Połowa pleców (O, P, Q, R, S, T, U. V, · 1)
Fig. 12. Rękaw (W, X, Y, Z)
Fig. 13. Kołnierz (S, *)
Fig. 14. Klapka do kieszeni (: +)

N. III. Paletocik z kapturkiem, dla dziecka lat 2—4. Rycina 18 w N-rze 45.

Fig. 15. Przód (a, b. i, k, l, *, :) 1 założenie
Fig. 16. Boczek (a, b, c, d, e, f, × 2) — × — × —
Fig. 17. Połowa pleców (c, d, e, f, g, h, i, k, · 2 do × 3 i · 8)
Fig. 18. Rękaw (l, m, n, o)
Fig. 19. Wykład do rękawa (m, o, +) ○○○○○
Fig. 20. Kapturek (g, p, *, . × 4 i · 4)
Fig. 21. Połowa klapki do kieszeni (·) * * * *

N. IV. Forma podszewki pod trykotowy stanik „Jersey" albo „Surcot Veronese." Rycina 22 i 46 w N. 44 i ryc. 26 w N-rze 45. Miara objętości przez połowę: 48 cent. w gorsie, 28 w pasie.

Fig. 22. Przód (q, r, w, x, y, ·) 1 założenie
Fig. 23. Pierwszy boczek (q, r, s, t)
Fig. 24. Drugi boczek (s, t, u, v)
Fig. 25. Połowa pleców (u, v. w, x, +, ·) 1 założenie
Fig. 26. Rękaw (y, z, *, :)
Fig. 27. Połowa kołnierza (+,) ↔ ↔
Fig. 28. Deseń haftu na wykład do rękawa.

N. V. Sukieneczka z haftowanym plastronem. Rycina 10—11 w N-rze 44.

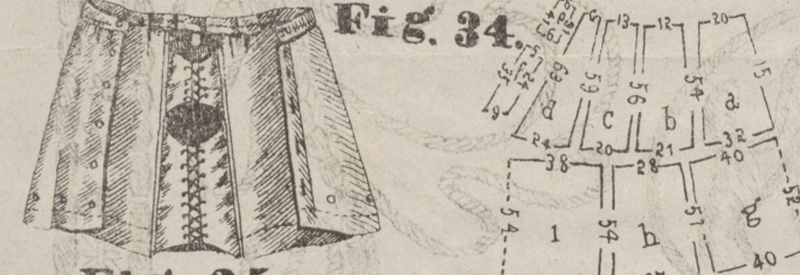
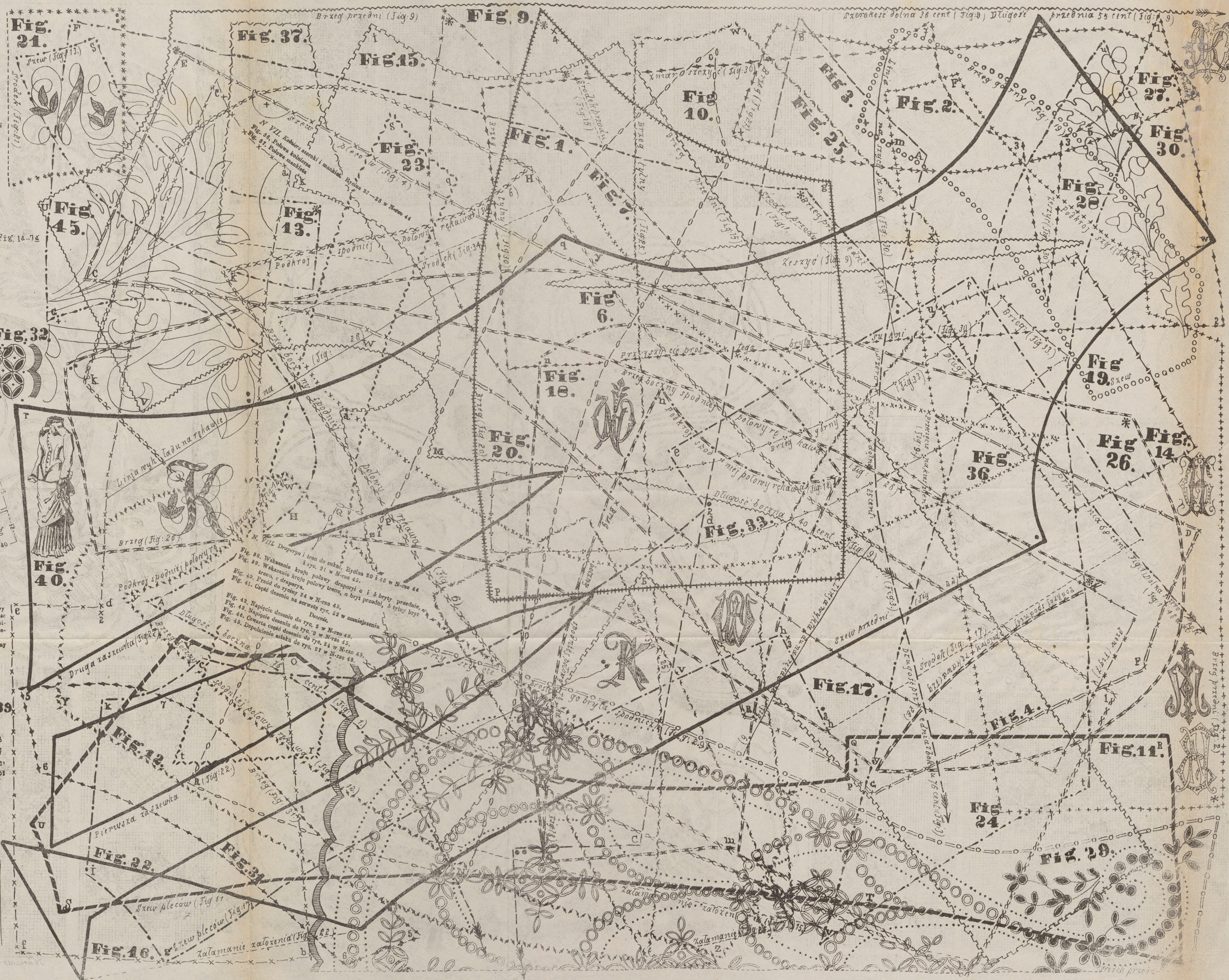


Fig. 29. Połowa przodu wraz z deseniem (1, 2) ═ o ═ o ═
Fig. 30. Boczek i połowa pleców (1, 2, 3, 4, 5, 7)
Fig. 31. Rękaw (1, 5, 6, 7)
Fig. 32. Deseń na wszywkę.

N. VI. Spódnica z turniurą Rycina 7—8 w N-rze 45.

Fig. 33. Połowa paska
Fig. 34. Wskazanie kroju połowy spódnicy, *a* przód górnej połowy spódnicy, *b* pierwszy, *c* drugi klin, *d* bryt tylny, *e* górna część sznurowania, *f* dolna część sznurowania, *g* połowa przodu dolnej przypiętej części spódnicy, *h* klin boczny, *i* połowa tylnego bryta.
Fig. 35. Górna połowa spódnicy z turniurą przedstawiona z lewej strony





N. VII. Kołnierz szeroki i mankiet. Rycina 27—28 w N-rze 44

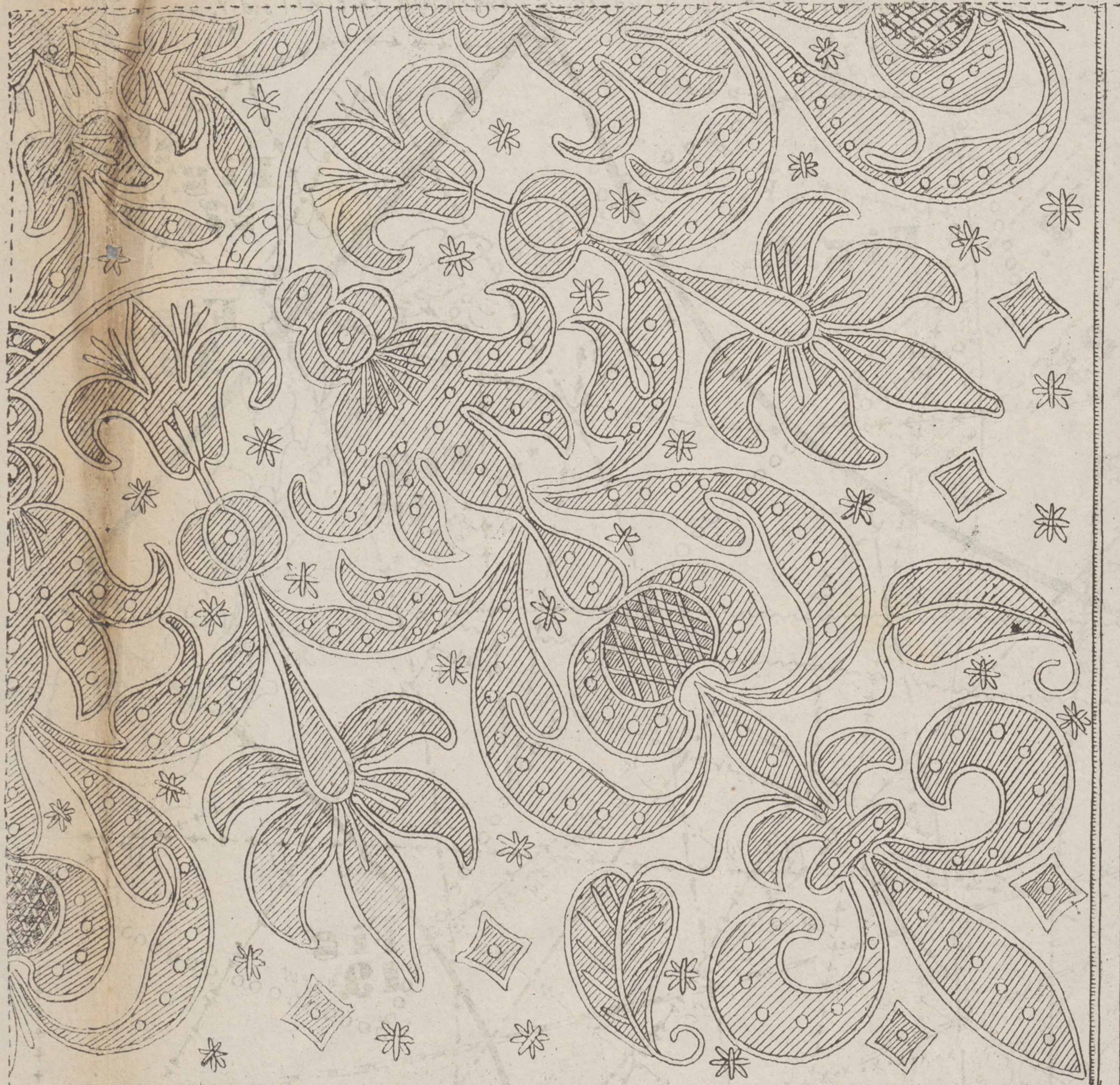
Fig. 36. Połowa kołnierza
Fig. 37. Połowa mankieta

N. VIII. Draperya i tren do sukni. Rycina 20 i 45 w N-rze 44 i ryc. 21 w N-rze 45.

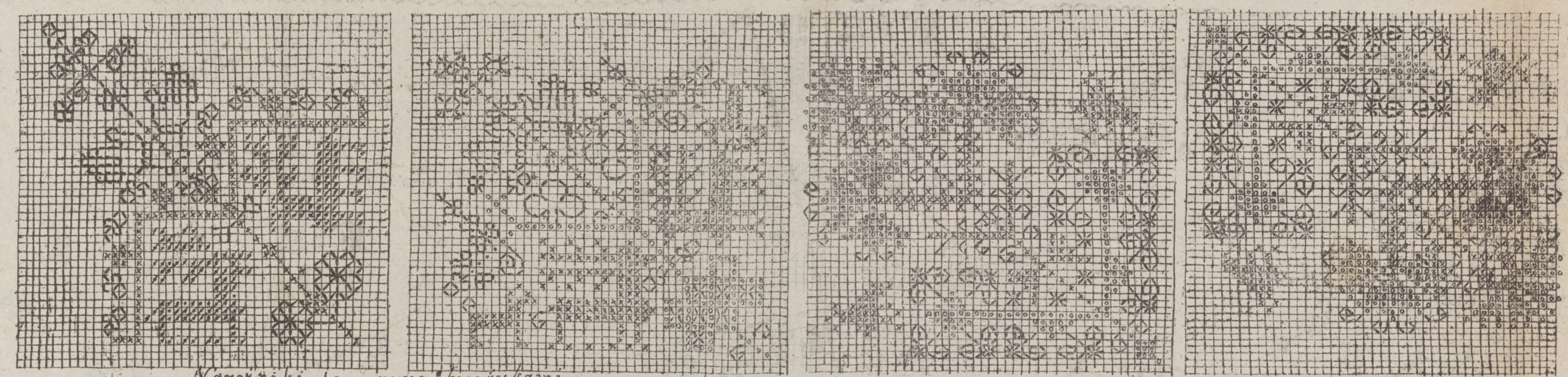
Fig. 38. Wskazanie kroju połowy draperyi *a* i *b* bryty przednie.
Fig. 39. Wskazanie kroju połowy trenu, *a* bryt przedni, *b* tylny bryt trenu, *c* draperya.
Fig. 40. Przód do ryciny 24 w N-rze 45.
Fig. 41. Część deseniu na serwetę ryc. 32 w zmniejszeniu.

Desenie.

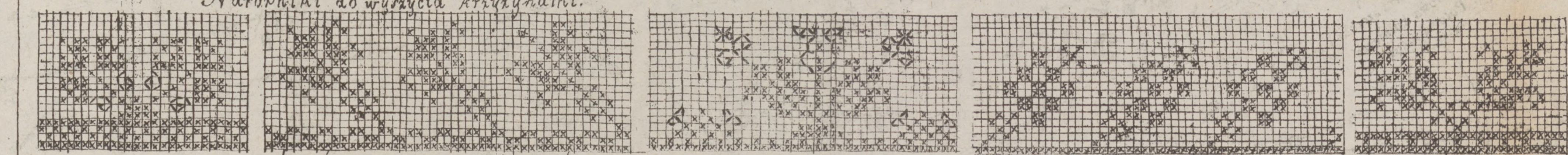
Fig. 42. Napięcie deseniu do ryc. 5 w N-rze 45.
Fig. 43. Napięcie deseniu do ryc. 2 w N-rze 45.
Fig. 44. Czwarta część deseniu do ryc. 34 w N-rze 45.
Fig. 45. Dopełnienie szlaku do ryc. 27 w N-rze 45.



Deseń na poduszkę do krzesła.



Narożniki do wyszycia krzyżykami.



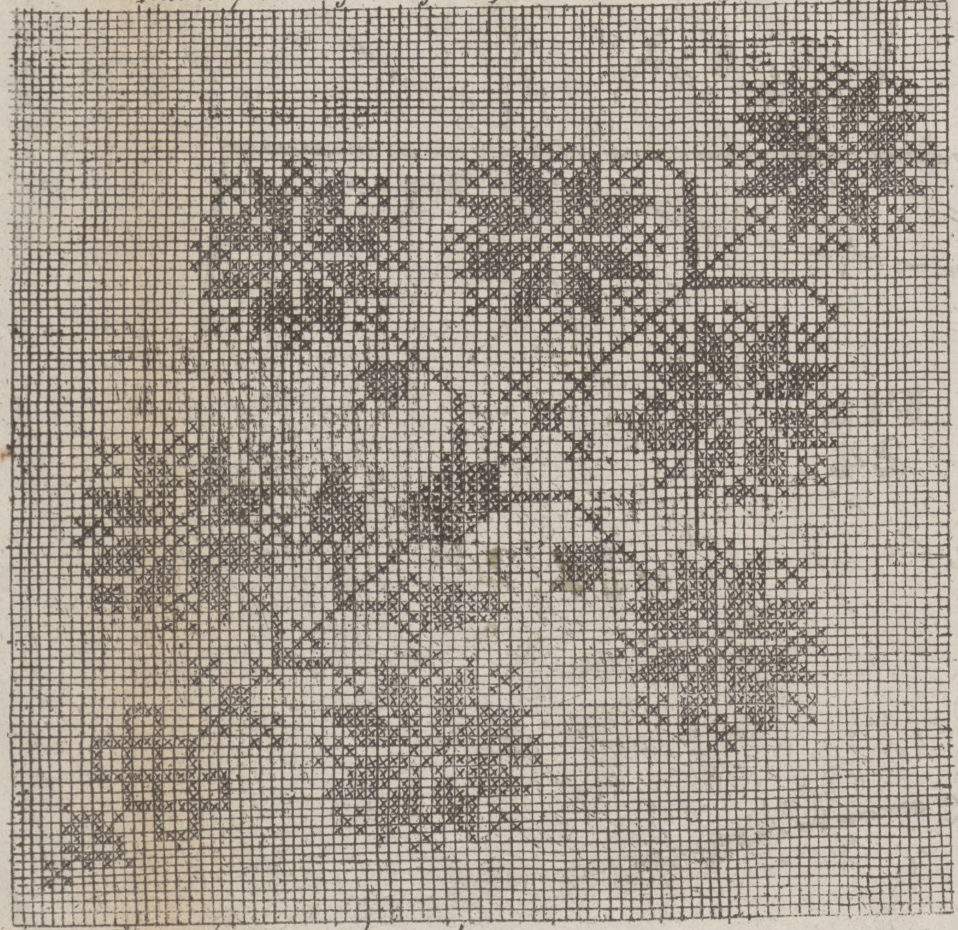
Szlaczki do wyszycia krzyżykami.



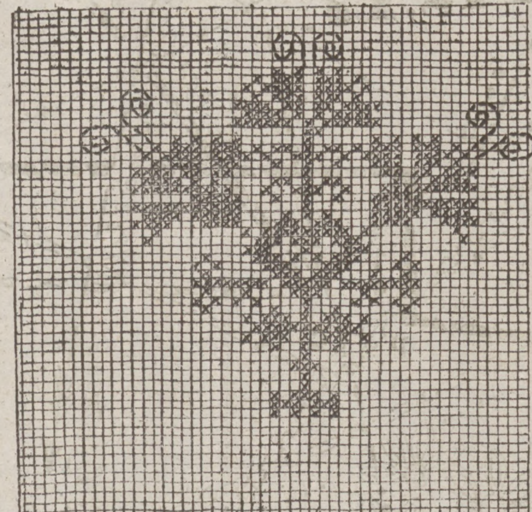
Szlak do portjer serwet itp: Wyszycie sznureczkiem i ściegiem luźnym.



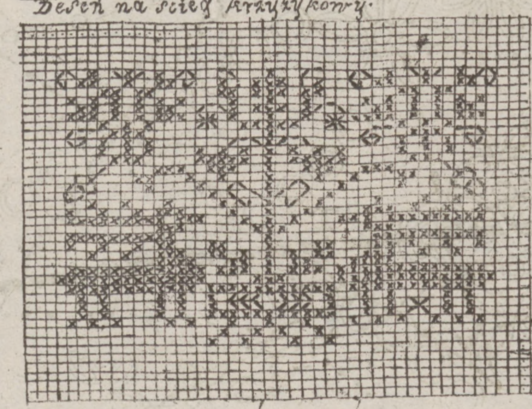
Pas haftowany ściegiem płaskim na meble lub t. p.



Narożnik na ścieg krzyżykowy



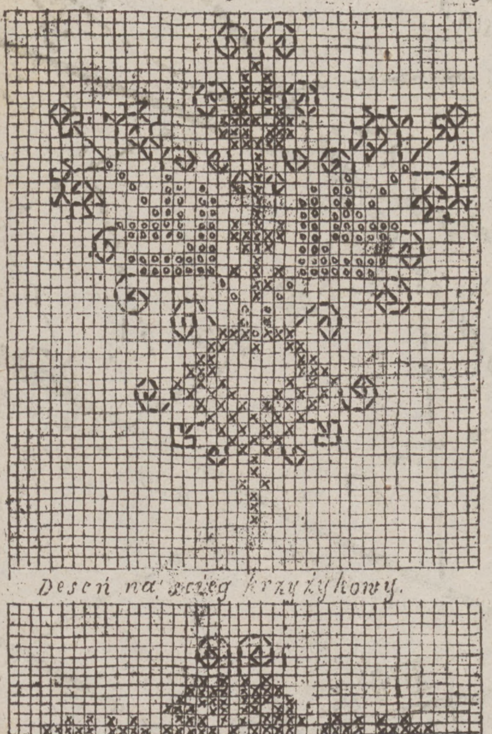
Deseń na ścieg krzyżykowy.



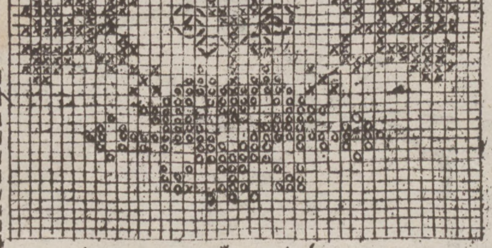
Deseń na ścieg krzyżykowy.



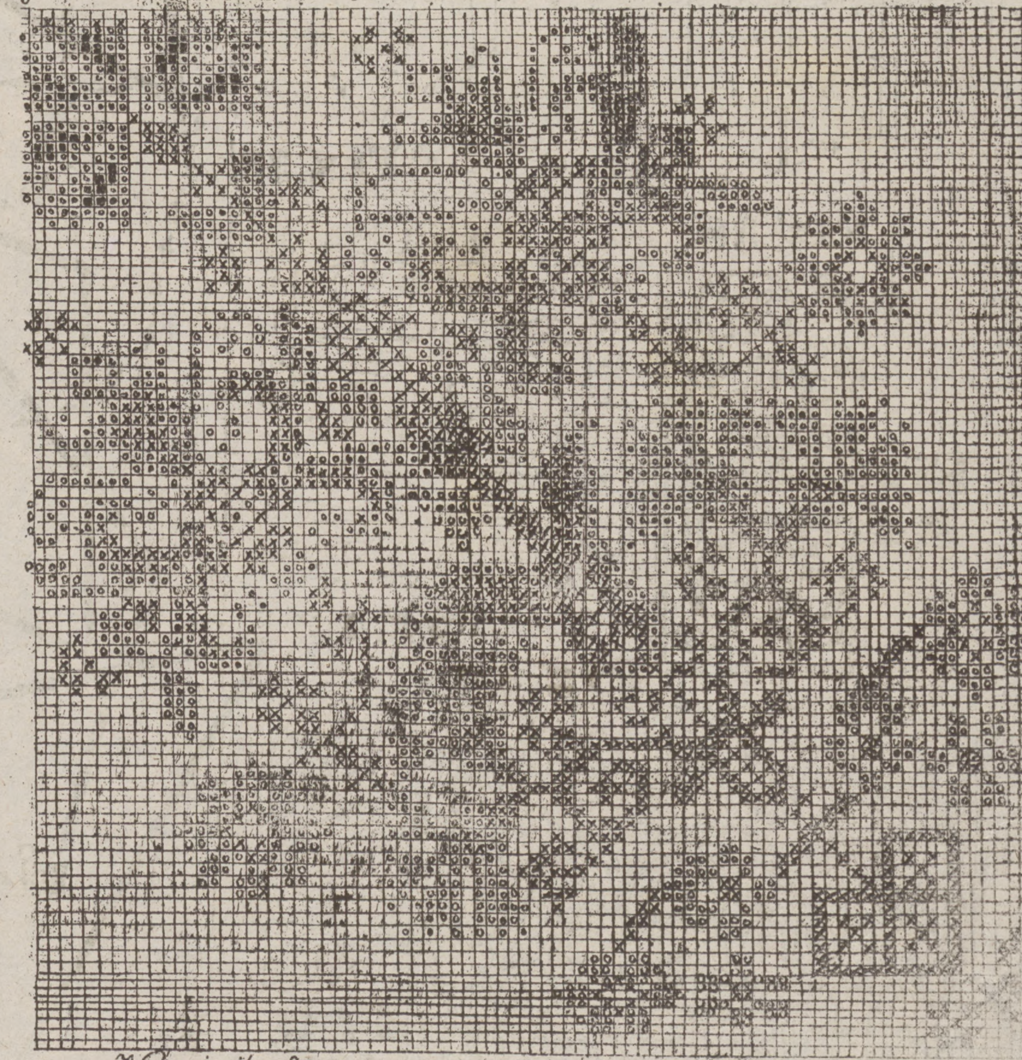
Haft płaski i wyszycie sznureczkiem złotym, na serwetę.



Deseń na ścieg krzyżykowy.



Deseń na ścieg krzyżykowy.



Narożnik do wyszycia krzyżykami